PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie Rb. 2. Półrocznie Rb. 4. Rocznie Rb. 8. W Królestwie i Cesarstwie: Kwartalnie Rb. 2.25 Półrocznie Rb. 4.50 Rocznie Rb. 9. Zagranicą: Kwartalnie Rb. 3. Półrocznie Rb. 6. Rocznie Rb. 12. Miesięcznie: w Warszawie, Królestwie i Cesarstwie kop. 75, w Austryi: Kwartalnie 6 Kor. Półrocznie 12 Kor. Rocznie 24 Kor. Na przesyłkę „Alb. Szt." dołącza się 50 hal. Numer 50 hal. Adres: „ŚWIAT" Kraków, ulica Bonerowska № 12.
CENA OGŁOSZEŃ: Wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście Rb. 1, na 1-ej stronie okładki kop. 60. Na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem kop. 30. 3-cia strona okładki i stronice poza okładką kop. 25. Za tekstem na białej stronie kop. 30 Zaślubiny i zaręczyny, Nekrologi, Nadesłane kop. 75. Marginesy: na I-ej stronie 10 rb., przy nadesłanych 8 rb., na ostatniej 7 rb., wewnątrz 6 rb. Załączniki po 10 rb. od tysiąca.

Adres Redakcyi i Administracyi: WARSZAWA, Zgoda № 1.
Telefony: Redakcyi 80-75, redaktora 68-75, Administracyi 73-22.
FILIE ADMINISTRACYI: Sienna № 2 tel. 114-30.
ŁÓDŹ, ulica Piotrkowska № 81.

Za odnoszenie do domu dopłaca się 10 kop. kwart.

ŚWIAT

Rok VIII. № 25 z dnia 21 Czerwca 1913 r.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Redaktor: Stefan Krzywoszewski.
Warszawa, ulica Zgoda № 1, róg Chmielnej.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, Bonerowska № 12.

Upraszamy o wczesne nadsyłanie przedpłaty na kwartał III-ci r. b., celem uniknięcia zwłoki w wysyłaniu pisma.

Administracya „ŚWIATA".

W kleszczach niemczyzny.

W zaborze pruskim w dziejach walk ostatnich lat żywiołu polskiego, zarówno z oficyalnym systemem pruskim, jak wogóle z naporem naciskającej zewsząd niemczyzny, rok 1903 niepoślednie zajmuje miejsce. Chodziło naówczas o Górny Śląsk, gdzie niecono hasło o narodowem jego odrodzeniu, wyborze posłów do berlińskiego Koła Polskiego i o połączeniu w ten sposób prastarej dzielnicy Piastowskiej silniejszemi węzłami narodowemi i politycznemi z Księstwem i Prusami Królewskiemi. Hasło to znalazło żywy oddźwięk w całej Polsce. Powitano je z uczuciem niekłamanej radości i prawdziwemi sympatyami w trzech zaborach.

Po stronie polskiej oddawano się łatwo zrozumiałym nadziejom, że odtąd praca narodowa na Górnym Śląsku postępować będzie żwawiej, a przedewszystkiem z silną wiarą w przyszłość. Sądzono, że nietylko pod względem politycznym, a więc przedewszystkiem podczas wyborów do parlamentu niemieckiego i sejmu pruskiego, ale niemniej w dziedzinie kulturalno - oświatowej, tak bardzo zaniedbanej na Górnym Śląsku, odporność polska położy tamę dalszej polityce germanizatorskiej.

Nadzieje te, niestety, zawiodły, a polska opinia publiczna z wielkiem zaniepokojeniem i uczuciem goryczy stwierdza, na podstawie doświadczenia lat ostatnich, że polskość na Górnym Śląsku, zamiast postępować, cofa się z każdym rokiem.

Dowodem tego najpierw wybory do parlamentu niemieckiego, które odbyły się w styczniu 1912 roku, a wypadły wprost fatalnie dla polskiej sprawy górnośląskiej. Okręg gliwicki, zamieszkały przeważnie przez ludność polską, w 1907 roku dość gładko zdobyty przez polaków, odzyskało znowu niemieckie centrum. Walka w okręgu kozielsko - strzeleckim, zamieszkałym przez ludność rolniczą, a reprezentowanym od szeregu lat w parlamencie przez renegata śląskiego, ks. dziekana Glowatzky'ego z Wysokiej, zakończyła się również klęską polaków. W dwóch okręgach obwodu przemysłowo - fabrycznego Górnego Śląska, w okręgu bytomsko-tarnogórskim i katowicko - zabrskim, w których polacy w poprzednich wyborach odnieśli imponujące zwycięstwa, w roku 1912 z największym trudem i wysiłkiem dopiero w wyborach ściślejszych zdołali utrzymać dotychczasowy stan posiadania.

Wynik wyborów wywołał, oczywiście, wśród niemców wszystkich stronnictw wielką radość. Hakatyzm święcił tryumfy, a pruska polityka germanizatorska z dumą spoglądać mogła na rezultaty swej pracy i zabiegów. Nie zawiodły starania, które od lat 50 blizko

wytrwale i konsekwentnie zmierzają do wytkniętego przez Bismarcka celu. Pruski, a na modłę jego niemiecki patryotyzm, nie zasadza się tyle na wywyższeniu swej narodowości ponad wszystkie inne, ile na wykluczaniu, niepojmowaniu, niewspółczuciu z innemi narodowościami, w stosunku do własnej. Patryotyzm pruski, nadający ton nowoczesnemu patryotyzmowi niemieckiemu, polega nietyle na miłości i przywiązaniu do swego języka i obyczajów, ile przedewszystkiem na konfiskowaniu wszelkich praw do rozwoju, do istnienia nawet, innych narodów na rzecz zjednoczonej, wielkiej ojczyzny niemieckiej.

Oto myśl, która spoczywa na dnie duszy niemieckiej, a którą dosadnie wypowiedział bezimienny autor, „Ein Grossdeutscher", w broszurze, zatytułowanej: „Germania Triumphans". Jest to idea pangermańska, pruska, ekspansywna, zaborcza i opierająca się na aksyomie, że siła jest podstawą prawa. W tych warunkach pracować i walczyć musi o swe prawa i byt polskość w zaborze pruskim, a bezwzględna ta polityka germanizacyi i ekspansyi najdotkliwiej daje się we znaki najsłabszej pod względem narodowego uświadomienia i wyrobienia politycznego dzielnicy, t. j. Górnemu Śląskowi, gdzie panuje zanik tradycyi polskiej, gdzie już nietylko znajomość dziejów naszych wyjątkowo jedynie u jednostek się znachodzi, ale gdzie nawet matki-polki w domach, przy ogniskach rodzinnych, pacierz ze swemi dziećmi odmawiają w języku niemieckim.

Jeżeli wybory do parlamentu niemieckiego w 1912 roku, kiedy liczba głosów polskich fatalnie spadła na rzecz niemców, nawskroś ponury przedstawiły obraz na Górnym Śląsku, to równocześnie, na podstawie spisu ludności z 1910 roku ogłoszona statystyka narodowościowa Rzeszy niemieckiej w najwyższym stopniu zaniepokoić musiała całe społeczeństwo polskie. Cóż bowiem się pokazało? Oto że w ostatniem pięcioleciu na Górnym Śląsku nietylko nie mieliśmy najmniejszego przyrostu polskiego, ale zapisać musieliśmy straty w wysokości kilkudziesięciu tysięcy osób zgermanizowanych. Skutek był ten, że powiat zabrski, położony w centrum okręgu przemysłowo-fabrycznego, na podstawie paragrafu kagańcowego, pozwalającego na urządzanie polskich wieców i zgromadzeń publicznych tylko w tych miastach i powiatach, gdzie polacy stanowią conajmniej 60% ogółu ludności, utracił odtąd prawo zwoływania i odbywania takich wieców. Ciężka i dotkliwa to strata, jeśli zważymy doniosłe znaczenie, jakie wiece publiczne i wogóle słowo polskie posiada dla sprawy górnośląskiej. Wprawdzie ostatni spis ludności w całym zaborze pruskim nie był pomyślnym dla nas, wykazał bowiem, że w pięcioleciu od 1905 do 1910 r. siła żywiołu polskiego, w porównaniu z siłą żywiołu niemieckiego w Rzeszy, cofnęła się o 0.2%, a w ostatniem dwudziestoleciu o przeszło pół procent, ale nigdzie nie było tu absolutnego uszczerbku, jak na Górnym Śląsku.

Wprawdzie podczas spisów ludności w dzielnicach polskich dzieją się najrozmaitsze nadużycia, których dopuszczają się spisujący urzędnicy, mimo to jednak i ta niezupełnie dokładna i wierna statystyka urzędowa uprawnia do wniosku, że, o ile środek ziem polskich, t. j. Wielkopolska, ciągle zaznacza postępy, to oba skrzydła, a mianowicie: Prusy Królewskie i Górny Śląsk, łamią się pod naporem atakującej niemczyzny, ustaw wyjątkowych, kolonizacyi i t. d.

Zgermanizowanych polaków, prusaków, mówiących po polsku, coraz więcej na Śląsku, czytelnictwo polskie upada, prasa polska, mimo wysiłków, ani w dziesiątej części nie ma tego powodzenia, jakiem się cieszą dzienniki niemieckie.

Typ śląskiego prusaka, mówiącego po polsku — to głośny ks. Kapitza, proboszcz w Tychach, w powiecie pszczyńskim, do niedawna poseł polski na sejm pruski. Człowiek ten, zrodzony z polskich rodziców, mówiący i piszący dość poprawnie po polsku, zdołał w niektórych politycznie bezkrytycznych umysłach polskich wzbudzić takie zaufanie, że przed pięciu laty powierzono mu mandat poselski w okręgu opolskim. A powierzono go mimo przestróg i opozycyi tych, którzy w proboszczu tychowskim widzieli tylko centrowca niemieckiego. Mandat otrzymał, jako przedstawiciel separatyzmu śląskiego, w imię szkodliwego dla naszej sprawy hasła: „Śląsk dla ślązaków!", odcinającego polaków śląskich od wpływów inteligencyi polskiej z innych dzielnic.

Separatyzm ten wyrządził sprawie górnośląskiej nieobliczalne już szkody. Ks. Kapitza zaś, wstąpiwszy do Koła Polskiego, godzić począł w najistotniejsze podstawy tak Koła samego, jak całej polityki narodowej. Skończyło się na tem, że po 4 latach z Koła wystąpił, narażając w dalszej konsekwencyi okręg opolski na utratę mandatu na rzecz niemców. Jest to ponury moment w rozwoju wypadków politycznych na terenie górnośląskim.

Świeżo odbyte wybory do sejmu pruskiego zakończyły się również klęską polską na Górnym Śląsku. Podczas gdy Wielkopolska i Prusy Królewskie utrzyma-

ły dotychczasowy stan posiadania, polacy na Górnym Śląsku stracili 2 jedyne mandaty. Nietyle wchodzi tu w grę utrata samych mandatów, zdobytych przed 5 laty na podstawie kompromisu, ile smutny fakt, że głosy, które padły na wyborców polskich, przedstawiają wprost przygnębiająco nizką cyfrę. Z wyjątkiem trzech okręgów, górnośląskie komitety wyborcze, nie wierząc w jakikolwiek sukces, ogłosiły abstynencyę wyborczą. Ale i w tych trzech okręgach stosunek głosów polskich do niemieckich ponure rzuca światło na sprawę polską. Okręg opolski zgóry zrezygnował z walki wyborczej, pozostawiając niemcom zupełną swobodę działania.

W okręgu raciborskim dotychczasowy poseł Raczek zdołał zgromadzić zaledwie 13 wyborców, podczas gdy kandydat niemiecki uzyskał przeszło 350.

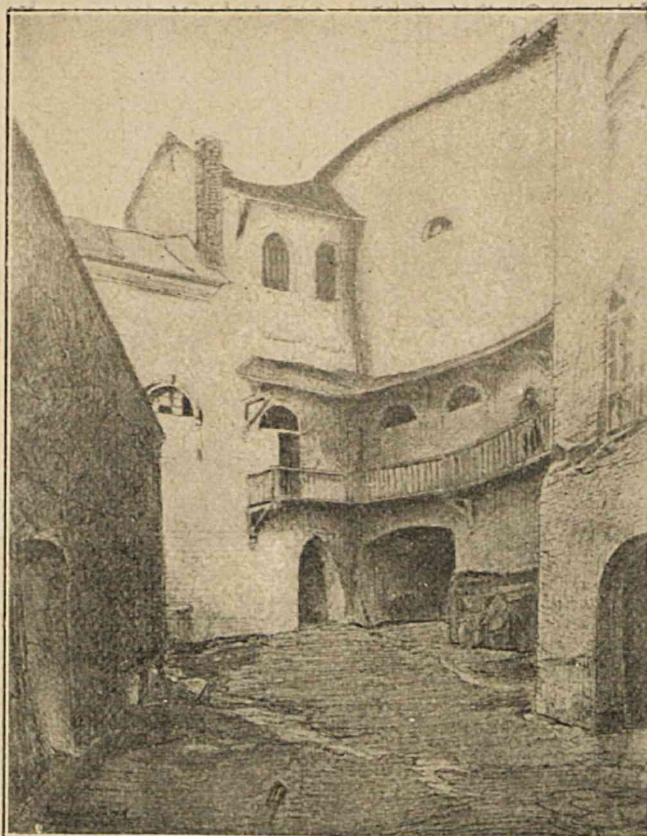
W okręgu pszczyńsko - rybnickim wobec 760 wyborców niemieckich przeprowadzono 134 polaków. Wprawdzie wybory do sejmu, opierające się na najreakcyjniejszym w świecie systemie, nie są podatnym materyałem do badania siły żywotnej ludności polskiej, mimo to wyniki śląskie nasuwać muszą bardzo poważne refleksye.

Walka żywiołu polskiego w zaborze pruskim o język, narodowość, wiarę, obyczaj, prawa obywatelskie, o całe istnienie zatacza coraz szersze kręgi i przybiera olbrzymie rozmiary. Jaki będzie rezultat tej walki, w której siły są nierówne, bo po jednej stronie stoi państwo, olbrzymie swą siłą, nabytą przez trzy wojny zwycięskie i pewność panowania, po drugiej — drobna tylko część narodu polskiego, — to zakryte jest przed oczyma naszemi.

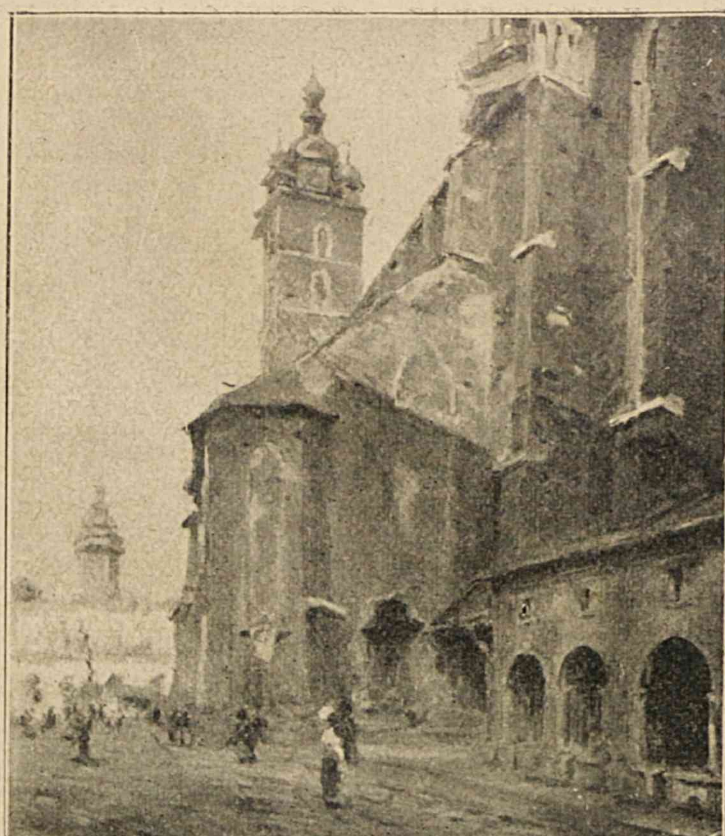
W Księstwie Poznańskiem i Prusach Królewskich, gdzie — nie oddając się złudzeniom co do istotnego stanu rzeczy — idea narodowego bytu i rozwoju na podstawie własnej pracy w każdym kierunku ogarnia coraz szersze koła, społeczeństwo polskie, mimo najfatalniejszych warunków, faktycznie skupia się wewnętrznie coraz bardziej z każdym rokiem.

Niestety, powiedzieć tego nie można o Górnym Śląsku, tej narodowo najsłabszej i najbardziej zagrożonej dzielnicy polskiej w zaborze pruskim.

Józef Siemianowski.



Fr. Turek. Stary dziedziniec na Kaźmierzu w Krakowie.



A. Salvaroni. Kościół Maryacki w Krakowie.

POD MEDUZĄ.

W domu „pod Meduzą“ przy ul. Brackiej rezyduje w Krakowie „Związek powszechny artystów polskich“, trochę nietrafny w nazwie, gdyż ustawa (zresztą z konieczności) ogranicza jego działalność do samej tylko Galicyi. Ma ta organizacya swój odrębny charakter wśród innych naszych zrzeszeń artystycznych. Nie jest stowarzyszeniem ani dla „zachęty“, ani dla „popierania“ sztuki, nie skupia w swych ramach „przyjaciół“ jej ani mecenasów. Jest dumnym związkiem — samopomocy. Nie ogranicza się także do wyłącznie artystycznych zadań. Obejmuje szerokie interesy zawodowe i nietylko bezpośrednio organizuje samą twórczość, ale ją równocześnie chroni, stwarza dla niej konjunktury korzystne i jaknajpomyślniejsze warunki rozwoju. Między artystą i społeczeństwem znika tu pośrednik, działający dla zysku, lub z pobudek idealnych. Jest to pierwsza polska organizacya malarstwa i rzeźby, działająca nowoczesnemi środkami kooperacyi. Unosi się nad Związkiem tradycya Jana Matejki, który dawno już, przed laty przeszło dwudziestu, miał myśl szczęśliwą, aby artystów skupić dla wspólnej ochrony swych interesów, z pominięciem pośrednictwa, czy opieki zzewnątrz. Ta myśl odżyła w Krakowie po wielu latach. Leon Kowalski był tym, który ideę Matejkowską podjął nanowo, potrafił urzeczywistnić ją i dał jej rozpęd czynny. Znakomity artysta, pierwszy prezes stworzonego przez siebie zrzeszenia, opuścił przed rokiem Kraków i osiedlił się w rodzinnym swym Kijowie. Na czele Związku stoi dziś jedno z najświetniejszych imion polskiego malarstwa: prof. Teodor Axentowicz.



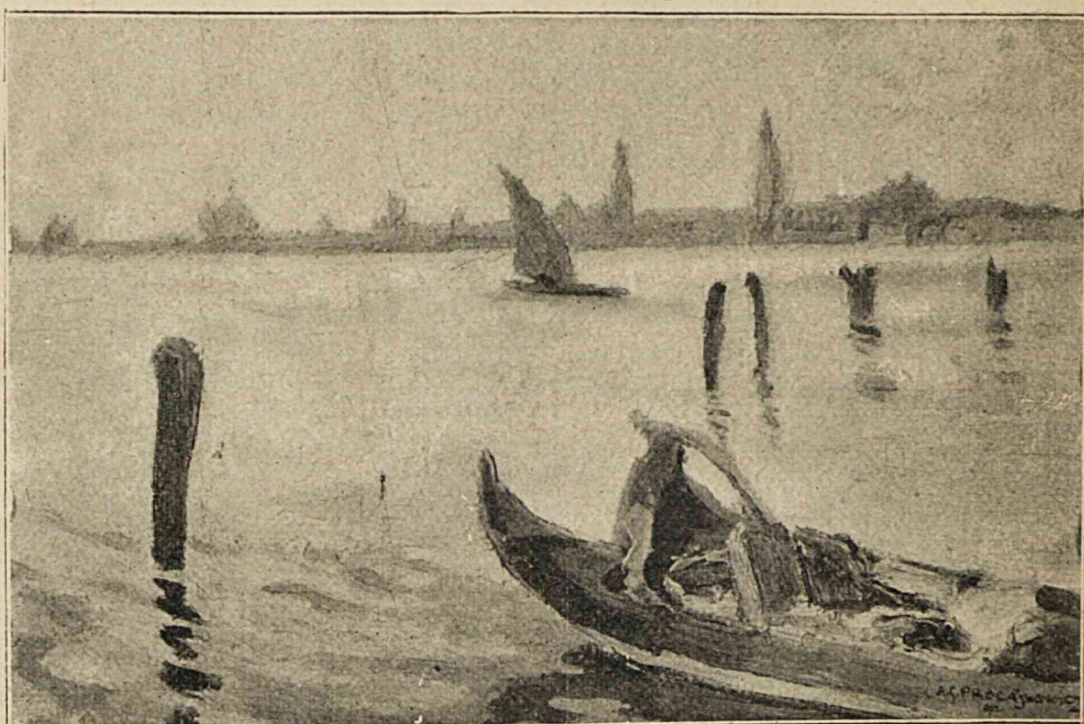
S. Jaxa-Małachowski. Z Nervi.

Związek, powołany do życia przez Kowalskiego, wykazał dostatecznie swą żywotność. Szerokie cele zawodowe, obliczone na wiele lat, mogą być tylko stopniowo realizowane i stopnie te przechodzą pomyślnie. Jako organizacya artystyczna, zdobył Związek stanowisko poważne, obok oficyalnego Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych i obok stowarzyszenia „Sztuki“. Wystawy jego stały się w życiu artystycznem Krakowa czynnikiem wybitnym. I następują po sobie w raźnem tempie. Otwarta obecnie wystawa w dawnym pawilonie architektury jest od lat paru — czternastą z rzędu.

Umacnia ona chlubną opinię, jaką zyskały sobie występy poprzednie Związku. Wystawa zgromadziła szereg imion znanych i świetnych, ale obok nich także imiona artystów młodszych i najmłodszych, dla których wrota oficyalnego salonu często okazują się trudnemi do przekroczenia. Ten nastrój przyjazny wobec ta-

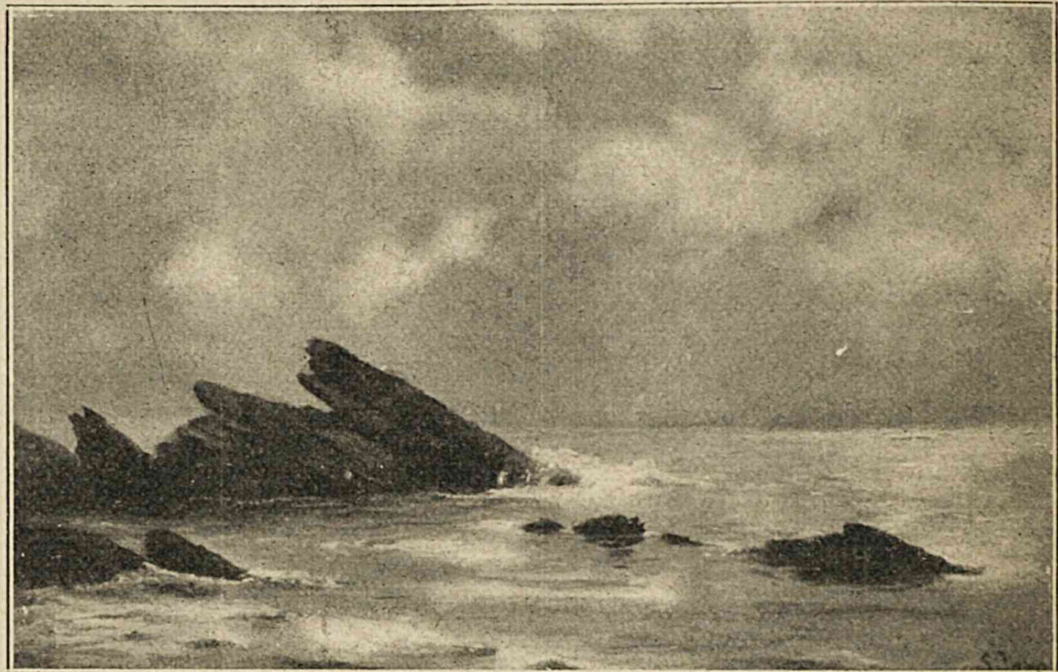


Fr. Turek. Zakątek przy kościele Bożego Ciała w Krakowie



A. Procajłowicz. Laguny.





S. Jaxa-Małachowski. Morze.

lentów młodych, wybijających się dopiero, stanowi jednę z cech, a zarazem racyi bytu związkowych wystaw. Doskonale, przy wspólnym mianowniku wymagań artystycznych, godzą się tu ze sobą artyści najbardziej uznani i tacy, z którymi często po raz pierwszy przychodzi się spotkać. Wśród aspirujących dopiero do sławy i rangi są ci, co dawno je już zdobyli. Prof. Mehoffer przybył z szeregiem prac graficznych, które coraz intensywniej zajmują w ostatnich czasach tego wielostronnego i bogato wyposażonego twórcę. Prof. Axentowicz występuje z rewelacyą: obok przesubtelnego pastelu (wiejskie typy dziewczęce) daje wyborną rzecz, malowaną olejno, jednę z tych najrzadziej wychodzących z jego pracowni. Z pokaźną liczbą prac, zwłaszcza akwarelowych, występuje Wojciech Weiss, tegoroczny laureat Akademii. Są: Włodzimierz Tetmajer, Wodzinowski, Kasper Żelechowski, Filipkiewicz, Vlastimil Hofman (portret własny), Kamocki, rzadko u nas widywany Procajłowicz, Nowakowski, Leonard Stroynowski, Pronaszko, Krasnowolski.

Wybijają się nowe prace Jaxy-Małachowskiego, zamiłowanego i z pasyą studyującego swój przedmiot malarza fali morskiej: studya z włoskiego południa. Świadczą o poważnem wgłębieniu się w temat i o zwycięskiem zawładnięciu trudnościami, jakie on nastręcza. Pejzaż z „San Ilario" należy do najpiękniejszych rzeczy na wystawie. Obficie i doskonałemi pracami zaprezentował się Jan Rembowski, którego rysunki węglem i kredką i autolitografie (portrety i typy z Podhala) utworzyły jeden z najżywiej zajmujących fragmentów wystawy. Poważnie wyróżniają się studya pejzażowe Józefa Wrzesińskiego, o lekkim, bynajmniej nie niewolniczym, wpływie Fałatowskim. Niezmiernie zajmujący pejzaż z architektury krakowskiej daje Fr. Turek w szeregu subtelnych rysunków piórem, kredką i węglem; nienaganna poprawność linii łączy się tu z urokiem motywów, szczęśliwie wypatrzonych, zwłaszcza na Kaźmierzu krakowskim. Dużą kolekcyę prac ma włoch, pracujący w Krakowie, A. Salvarani, godzien uwagi, jako tęgi kolorysta. Oddzielną salę zajęła wystawa dzieł przedwcześnie zmarłego krakowianina, Stanisława Fleiszmana; złożyły się na nią staranne kopie arcydzieł dawnego malarstwa (Velasquez i Hals), oraz portrety oryginalne, wskazujące na talent, który dobrze się zapowiadał. Szereg innych: Karszniewicz, Klimowski Stanisław, Kopciński Edward, Mondral (bardzo udatne akwaforty), Olszewski Bronisław (ciekawy portret własny i subtelny, pełen sentymentu „ganek starego dworu"), Jan Bocheński (zajmujący kolorystycznie: żebrak w polu), Adolf Hiroń, L. Rausz, Kaliciński, Knausówna, to najlepiej prezentujący się wśród długiej jeszcze listy pozostałych.

Czternasta wystawa dopisała artystycznie.



Vlastimil Hofman. Autoportret.



Leon Kowalski. Studyum portretowe.



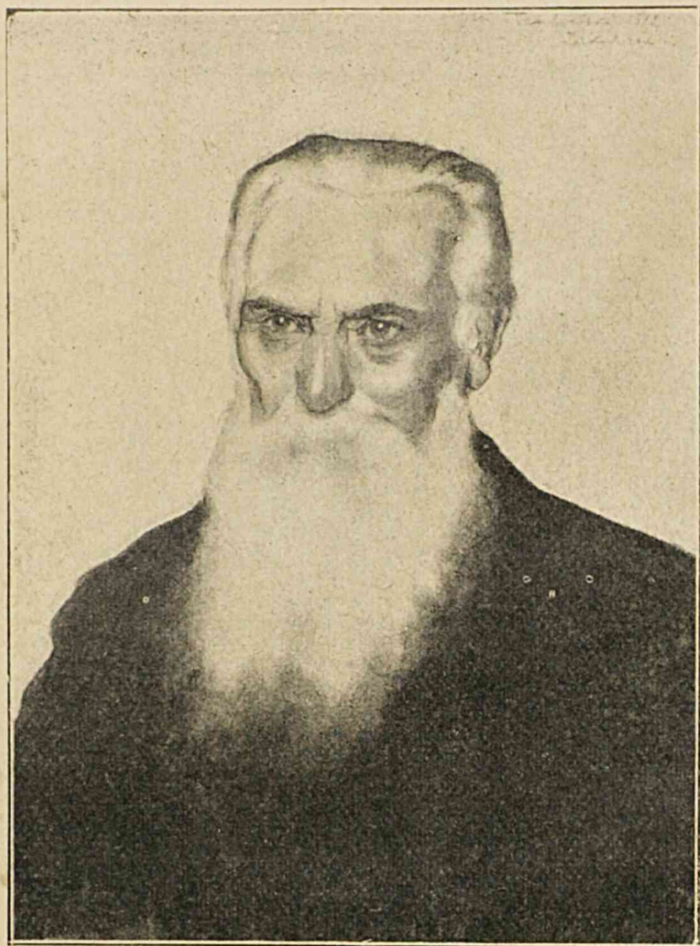
Leonard Stroynowski. Ukrainka.



T. Axentowicz. Pocieszycielka.



Wojciech Weiss. Studyum.


J. Rembowski. Portret B. Limanowskiego.


Hochman. Popiersie ś. p. St. Fleiszmana.


A. Nowakowski. W poczekalni.

A tymczasem Związek gotuje się do dzieła większego i trwałego. Od samego początku ma w planie wznieść w Krakowie dom, w którym, prócz sal wystawowych, znalazłoby się miejsce na ognisko życia towarzyskiego i na instytucye współdzielcze, służące malarstwu i rzeźbie. Na budowę domu przyrzeczona jest subwencya z funduszów państwowych, gmina krakowska nie uchyli się z pewnością od ofiarowania pod gmach kawałka ziemi. Lecz artyści liczą przedewszystkiem na siebie. Dla uzyskania potrzebnych środków organizuje Związek stutysięczną loteryę obrazów, które spodziewa się zgromadzić z darów polskich malarzy. Dary te zgłaszane są licznie już dziś. Nie można wątpić, że artyści polscy nie poskąpią ich na cel tak blizki sobie i tak bardzo żywotny. Dzieła, zgromadzone na loteryę, wystawione zostaną wprzód na wystawie okrężnej, która wyruszy z Krakowa i objedzie wszystkie znaczniejsze miasta trzech dzielnic. Ze sprzedaży ich przez losy loteryjne powinien napłynąć fundusz, który sprawę budowy gmachu posunie znacznie naprzód. Może zdecyduje o jej rychłem już urzeczywistnieniu.

Wówczas z „pod Meduzy“ przeniesie się Związek pod dach własny, pod dach pierwszego w Polsce „Domu artystów“.

Kraków. *Stosław.*

Zagadnienia życia w najświeższej beletrystyce polskiej.

Przeglądając naszą beletrystykę ostatniej doby, tę, którą nam dają nie koryfeusze, lecz liczni inni pracownicy literatury, widzimy, że jest to naogół w różny sposób przedstawiane życie codzienne. Na kilkanaście lub kilkadziesiąt tomów ogromna większość powieści nosi na sobie piętno realizmu, nawet pewnego szablonu pisarskiego z okresu przed-modernistycznego. Dążeń do nowej formy jest bardzo mało. Jest to w całem tego słowa znaczeniu strawa powszednia, nie wymaga nadzwyczajnych wysiłków ducha i zaspakaja wiecznie niesyty w tłumie inteligentnym głód fabuły. Lecz naogół o strawie tej można powiedzieć, że jest zdrowa. „Dzieje mężczyzny“ Olechowskiego, „Separatka“ Bielskiej, „Koleżanka Stefa“ Cecylii Walewskiej lub „Jarzmo miłosne“ Teresy Lubińskiej zawierają zdrowe, poważne rozwiązanie rozmaitych kwestyi życiowych.

Nie brak powieści wyłącznie „psychologicznych“, to jest pozbawionych szerszego problematu i opisujących tylko jakieś poszczególne, mniej lub więcej zajmujące powikłania życiowe. One to dają zmęczonym matkom rodzin, leniwym umysłowo panienkom i solidnym ojcom lekką rozrywkę, której tak z przepracowania lub braku pracy potrzebują. Potrzeba również czytać coś podczas podróży w wagonie. Tak każdy rodzaj beletrystyki spełnia w społeczeństwie swe pożyteczne zadanie. Mamy więc „Za cudze winy“ Anatola Krzyżanowskiego, „Słodycz grzechu“ Stefana Kiedrzyńskiego, „Książąt boru“ Heleny Mniszek, „Redutę“ Henryka Piątkowskiego, większość nowel w zbiorku „Lucifer“ Jana Lady, wreszcie zajmujące, jako próbki gwarowe, lecz już nie robiące wrażenia po cudownem „Skalnem Podhalu“ Tetmajera, „Posiady“ rzeźbiarza Wojciecha Brzegi.

Wyłącznie psychologiczna, oparta na wglądnięciach w duszę człowieka, jest nowa książka Ignacego Dąbrowskiego p. t. „Samotna“. Długo milczał Dąbrowski po swych paru książkach, które odrazu dały mu imię cenione. Nowa książka nie dała nam nowej fazy rozwojowej autora, pokazała nam tylko zawsze tego samego, bardzo zdolnego psychologa-analityka i umiejętnego obserwatora życia, któregośmy już znali ze „Śmierci“ i „Felki“. Tak konsekwentnie i drobiazdowo przeprowadzać analizę psychologiczną potrafi u nas jeszcze tylko Wacław Grubiński. Świat wewnętrzny, kryzysy duchowe starej panny, syna po śmierci starej matki, człowieka, wprowadzonego z gminu do sfery inteligentnej, w której czuje się źle, są u Dąbrowskiego doskonale odmalowane. Przed nami jest smutny, szary świat z niedolą, słabością, które są naturalne, usprawiedliwione, bo od ludzkiej natury nieodłączne. Bezskrzydły mikrokosm ludzki, oprzędzający pajęczyną każdą chwilę patosu, żali się przed nami. I w nas się coś żali na jego bezjaskrawość.

Poza paru wyjątkami, tematem najczęstszym w ostatnich powieściach naszych jest miłość. I to miłość już nie jako konieczny ornament powieści, towarzyszący innym powikłaniom ideowym, lecz jako główny jej problemat.

Miłość jest dotąd najczęściej jedyną stawką życiową kobiety, która

niezawsze śmie ryzykować, niezawsze potrafi wygrać. Są kobiety, które pod ciężarem niezniszczonej miłości uginają się i łamią, a jednak nie potrafią własną dłonią ukształtować życia, wyjść z zaklętego koła form. Potrzeba do tego wysiłku, do którego nie są zdolne dusze niehartowne, powojowe. W kilku powieściach widzimy typy kobiet pięknych duchowo, głęboko czujących, a jednak niezdolnych do samodzielnego ukształtowania swego życia.

Mlicka z powieści Konstancyi Łozińskiej p. t. „Na nowiu", Henryka z romansu Ludwiki Jahołkowskiej-Koszutskiej p. t. „Z oddali" i nieszczęsna Wira Horecka z powieści Jerwicza tegoż tytułu szarpią się w pętach nieudanego życia. A nie mogą ich przerwać i zwisają w nich bezsilnie, i tęsknią przez całe życie. Tragedya to niesamodzielności i miękkości kobiecej. Życie dało już tym kobietom określone pragnienia czy to piękna, czy to miłości wyższego typu, czy też czynu. Lecz nie dało im jeszcze charakterów, jak stal, by mogły się przedrzeć przez gąszczą tamy i osiągnąć cel. Trzeba po drodze deptać i ranić... Trzeba nietylko zdeptać zakazy zewnętrzne, lecz i te atawistyczne zakazy we własnej głębi, które oplątują wolę i krzyczą tysiącem wątpliwości.

Więc nie wywikłują się z sieci fatalnej kobiety - kwiaty, kobiety-ptaki. Raczej same się skażą na cierpienie, niż każą cierpieć innym. Raczej wybiorą tęsknotę do końca dni, niż jeden czyn jaskrawy.

Jednak niezawsze zakaz wewnętrzny, niezdolność do bezwzględnego aktu woli staje na przeszkodzie do lepszego, szerszego życia, do miłości uprawnionej przez duszę. Prawo ludzkie, nie liczące się ze szczęściem, z uczuciami kobiety, odsądza ją od radości życia. Wykazanie całej bezwzględności, nielogiczności, okrucieństwa współczesnego prawa małżeńskiego znajdujemy w „Separatce" Konstancyi Bielskiej. Tu kobieta szarpnęła się, by zerwać węzły niegodne — i nie mogła. Stanął przed nią mur wysoki i odgrodził od zasłużonego szczęścia nazawsze.

Rozlega się wołanie o miłość zduszoną, a i potępioną przez przemoc życia. O, bo miłość najsilniejszą jest w naturze ludzkiej sprężyną, jak dowodzi Zapolska w „Kobiecie bez skazy". Kobiecie bez skazy o to tylko chodzi, by nabyć skazę. Do czasu powstrzymują ją pozory towarzyskie, lecz silniejszy przypływ namiętności zrywa te tamy bez trudności! Kobieta bez skazy czuje jakby wewnętrzne upośledzenie, upokorzenie jakieś, że usuwa się od przemożnej dłoni natury. Pełnią życia jest pełnia rozkoszy erotycznej. Gdy tu się chybia, chybionem jest wszystko. Charakterystycznie wyraził się ten pogląd w jednej z pierwszych nowel Zapolskiej, gdzie spotykają się ze sobą dwie siostry: zakonnica i mężatka. Zakonnica odczuwa pustkę i jałowość swego życia, bezpłodność swych zachwytów i przeżyć, pozostających w próżni. Tylko kobieta-żona i kobieta-matka żyje naprawdę. Tylko dopełnienie prawa natury daje człowiekowi szczęście.

Zanadto wierzono we wszechwładne prawo natury i zanadto utożsamiano z niem sens życia. Rozgrzeszano też siebie łatwo ze zbytniego erotyzmu, nawet poetyzowano go, upatrując w nim to piękno nagości helleńskiej (och, ta biedna Hellada, wzywana nadaremno!), to renesansową tężyznę życia. Teoretycznie coś uzasadniwszy, można łatwo popuścić sobie cugli i brnąć w bagienku użycia, zasłaniając się racyami naukowemi lub pozą artystyczną. Przeciwko wyłącznemu zasklepieniu życia w erotyzmie lub miłości, które znieczulają na mnóstwo innych stron życia i odciągają od zdrowego czynu społecznego, protestują odrazu dwie książki, każda na swój sposób: „Dzieje mężczyzny" Olechowskiego i „Jarzmo miłosne" Teresy Lubińskiej.

Gustaw Olechowski maluje nam mężczyznę, który, szukając rozkoszy erotycznych, zniedołężniał moralnie, wykoleił się duchowo, stał się niezdolnym do spełnienia jakichkolwiek zadań wobec społeczeństwa. Stopniowo wschodzi w nim świadomość, że istnieją w życiu jeszcze inne wartości, że twórczość artystyczna, społeczna, walka polityczna, praca oświatowa jest także kontynuacyą gatunku, lecz duchowego. I bohater powieści, Stanisław Bruzda, wykreśla ze swego życia miłość i oddaje się pracy dla ludu.

W „Jarzmie miłosnem" z początku przedstawia autorka cały szereg ludzi, którzy albo nigdy nie zaznali miłości, albo też nie dała im ona tego, czego potrzebowały subtelniejsze, bardziej uduchowione natury. I zdaje się tym wszystkim istotom, że żyć bez miłości nie zdołają. Nieszczęsna Farrug, zdradzona pani Anna umierają. Lecz Karolina Żelewiczówna, Helena Wrotowska, którym życie odmówiło szczęścia miłości, w nauce, w macierzyństwie, w pracy społecznej wreszcie znajdują cały świat, znajdują głębokie zadowolenie. I życie przestaje być bezcelowem i pustem.

Ze strony mężczyzny dla mężczyzn, ze strony kobiety — dla kobiet zostało sformułowane w tych dwu książkach to samo dążenie: wyjście poza szranki życia osobistego, rozwinięcie w człowieku wszystkich stron życia, przeciwstawienie zawodom jednostkowym — szerokiej działalności ideowej. Objaw to ze wszechmiar dodatni i zdrowy.

DN. *Savitri.*


Dr. Aleksander Czołowski.


Aleks. Bieniecki, prezydent K.P-W.


Tad. Czołowski.

Sprawa polska na Węgrzech.

Obudzony przed paru laty ruch narodowy wśród ludności polskiej w północnych Węgrzech, na Spiżu i Orawie, stanął na szczególnem rozdrożu. Od samych jego zawiązków wspierało go czynnie grono ludzi, grupujących się w krakowskim „Klubie słowiańskim", niezależnie zaś od nich sprawą zajęła się energicznie grupa inna, skupiona dokoła „Gazety Podhalańskiej", założonej umyślnie dla oddziaływania na ludność polską na Węgrzech. Obie obrały drogi odmienne.

„Klub słowiański" wie, iż nasi górale z tamtej strony Tatr żyją pod obuchem podwójnym: systemu państwowego, który madiaryzuje, i najbliższych swych, kulturalnie wyżej stojących sąsiadów słowackich, którzy, sami uciskani, chcieliby straty swe wetować przez wchłanianie mniej rozwiniętego szczepu polskiego. Słowianofile krakowscy muszą jednak z natury rzeczy sympatyzować z ruchem narodowym słowian węgierskich. Program ich obejmuje tedy walkę z węgrami, jako wrogiem słowian wogóle, a przekonywanie słowaków, że nie powinni polskiej ludności wynaradawiać i pozyskiwanie ich dla obrony wspólnej. Na stanowisku taktycznie przeciwnem stoi „Gazeta Podhalańska". Próba współdziałania z ruchem słowiańskim, choćby nawet miała jakie widoki, powinna być zaniechana, gdyż ściągać musi na nas niechęć węgierskiej i opinii, i rządu. Należy korzystać raczej z tradycyjnej dla nas sympatyi węgierskiej, szukać zbliżenia z węgrami, wyjaśnić im, że ruch nasz nie

zagraża ich interesom państwowym, że, przeciwnie, sprzyja im, jako sprzeczny z panslawizmem, i, zdobywając życzliwą neutralność Węgier, całą energię skierować przeciw wynaradawiającemu nas wpływowi słowaczyzny, jedynie groźnemu dla przyszłości tamtejszego ludu polskiego.

Te dwa odmienne prądy zarysowały się od początku.

Który ma wziąć górę?...

Sama różnica intensywności wskazuje, że żywotniejszym okazał się prąd drugi, działania z węgrami, niż przeciw nim. Coraz wydatniejsza dziś praca na Spiżu i Orawie idzie głównie z Nowego Targu, od założycieli i wydawców „Gazety Podhalańskiej", i opiera się na przyjaznem porozumieniu z opinią i władzami na Węgrzech. Kult starej wzajemności politycznej, tylekroć zapisanej w dziejach, odżył po tej i tamtej stronie Karpat. Zadanie ujęcia tych nastrojów w formy konkretne podjął u nas „Klub polsko-węgierski" we Lwowie, który w osobach swych głównych przedstawicieli (pp. Tadeusz Stamirowski, prezes, dr. Aleksander Czołowski i Aleksander Bieniecki, wiceprezesi) umie zadanie to spełniać dobrze i wytwarza na Węgrzech atmosferę dla nas korzystną, dobroczynnie mogącą oddziałać na losy tamtejszego odłamu naszego ludu. Na ręce Klubu wpłynęło świeżo znamienne pismo zbiorowe od ludności polskiej z tamtej strony Tatr, pismo, które rozstrzyga ostatecznie o kierunku, jaki przyjąć powinna praca nad odrodzeniem ziemi orawskiej i spiskiej.

Nasi ziomkowie z północnych Węgier wołają, że traktowanie sprawy ich na gruncie słowiańskim musiałoby skończyć się ich klęską, i że tylko usiłowania, oparte na życzliwości opinii węgierskiej i węgierskiego rządu, mogą dać pożądane wyniki. Wskazują w odezwie swej, że niebezpieczeństwo istotne, niebezpieczeństwo wynarodowienia, grozi im od działaczy słowackich, którzy cały Spiż i całą Orawę pragnęliby przerobić na rdzenną Słowaczyznę. Ulotną broszurę polską „Co my za jedni?", puszczoną między ludem, ścigali słowacy i tępili. W kościele i w szkole tłumią wszelki przejaw poczuwania się do polskości. Gdy w r. 1911 po raz pierwszy przy spisie ludności zdecydowano się uwzględnić na Spiżu oficyalnie istnienie narodowości polskiej, przeciwdziałali temu słowacy z całej siły, bałamucąc lud, wmawiając w niego, że jest słowackim, nie polskim. Wręcz przeciwne stanowisko zajmują węgrzy. Prasa węgierska powitała nasz ruch przyjaźnie. Rząd zaczął się interesować sprawą polską na Spiżu i odnosi się do niej życzliwie. Odezwa polaków spiskich przestrzega, iż wszelkie z naszej strony próby współdziałania ze słowakami (niezależnie od tego, że są zgóry skazane na bezpłodność) „wzburzyłyby przeciw nam opinię węgierską, a rząd węgierski starałby się zdusić naszą sprawę, użyłby środków bezwzględnych, nie przepuszczałby przez swą granicę ani pism, ani ludzi, którzyby się chcieli zbliżyć do polaków węgierskich". I względy taktyczne i istota rzeczy przemawiają przeciw metodzie podobnej. „Zesłowaczenie, nie zmadziaryzowanie grozi nam!" wołają nasi ziomkowie.

Sprawa jest dla nas dużej wagi. Pod Tatrami w północnych Węgrzech żyje około 250.000 polskiego ludu góralskiego, rodzonych braci naszych podhalan. Przy zupełnym do niedawna braku choćby iskierki poczucia narodowego u tego ludu, przy braku szkół polskich, a nacisku słowackiego duchowieństwa, przy dłużej trwającem zapomnieniu tych ziem przez nas, wynarodowienie ich było by nieuchronnem. Szczęśliwie zapoczątkowana akcya obecna zapobiega tej klęsce, zapobiega skurczeniu się narodu polskiego o ćwierć miliona dusz.

Lwów. *Jast.*



P. Marceli Brindejonc Des Moulinais w otoczeniu członków Warszawskiego Klubu Automobilistów. *Fot. Maryana Fuksa.*

Szlakami ptaków — z wichrem w zawody.

Gość niespodziewany.

Na starcie półtorawiorstowym, hen, w głębi Mokotowskiego pola, gorącowały się konie po dwukrotnem nieprawidłowem ruszeniu z miejsca...

Gorącowała się chyba bardziej jeszcze publiczność w przewidywaniu „niechybnego fuksa" po dwóch fallstartach. A publiczności było sporo, z racyi, domniemanie, prześlicznej pogody, sprzyjającej wyścigowemu poobiedziu. Miało się już zlekka ku zmierzchowi, a właściwie nie ku zmierzchowi, tylko ku zamgleniu się przeczystego dotąd nieba. A może to tylko spływała na pole Mokotowskie melancholia kończącego się „zielonego karnawału", ostatniego dnia wiosennych wyścigów?

Było po siódmej minut kilka.

Zwartemi szeregami — jedni na stołkach, a na zwirze drudzy—trwaliśmy już od dobrego kwadransu u celownika, irytując się, komentując głośno niesforność koni — czy dżokejów? — i śledząc pilnie przez szkła akcyę rozgrywającą się *vis-à-vis* nas, u startu.

W chwii tej, tak pełnej sportsmańskiej emocyi, nagle uderzyło nam w uszy wyraźne choć dalekie, charakterystyczne furczenie — aeroplanu. Coraz silniejsze... Ha! aeroplan jeszcze nie spowszedniał, jak... automobil. Mimowoli, oczy wbite w start, oderwały się tu i owdzie od widnokręgu i zwróciły się na niebo. I coraz więcej głów zadarło się w górę.

— O! o! leci... — poodzywały się głosy.

— Gdzie?

Ale już i pytać nie trzeba było. Prostopadle nad trybunami stał już, zaledwie na wysokości jakich 200 do 300 metrów, a raczej płynął warcząc miarowo i głośno duży, bardzo duży monoplan (jednopłatowiec). Przez binokle widać było najwyraźniej obracającą się, względnie wolno, śmigę i zarys postaci lotnika. Bił wszystkich w oczy niepospolicie duży rozmiar aeroplanu. Tymczasem gość niespodziewany, jakby chciał popisać się przed licznem towarzystwem, wyciął parę ósemek bezpośrednio nad naszemi głowami, przenajzręczniej w świecie zatoczył koło, podniósł się w górę i majestatycznie poszybował — wpoprzek Mokotowskiego pola.

— Konie popłoszy! — jęknął mój sąsiad. Będzie nowy *fallstart!*

Istotnie też konie, nad któremi aeroplan — zniżając lot—przepływał właśnie, zaniepokoiły się. Ale aeroplan już był o staj kilka i widzieliśmy doskonale, jak wolno, świetnie wykonanym „finiszem" — jeśli wolno tak się wyrazić — opadł na ziemię.

— Brawo! brawo! — wyrwało się tu i owdzie tym, co lornetek nie oderwali od oczu. Majster jakiś; lata... jak Metternich!

— Pewnie któryś z wojskowych lotników.

— Z Modlina?

— A kto ich tam wie, gdzie teraz gniazdo i szkołę swoję mają...

— Zuch! Ale też i wybrał się! Akurat w sam bieg.

Ktoś zaś zamknął wszystkim usta, rzekłszy na głos:

— Tak! tak!... To, szanowni państwo, nie ściganie się bydląt po zielonej łące. To, panie i panowie, wielka rzecz. To, panie i panowie, bohaterstwa człowieczego — objawienie. *Chapeau bas!*

Mowa ta, niekunsztowna a szczera trafiła nietylko w sedno ale i do przekonania bodaj-że wszystkich w gronie naszem; no, i — „incydent" zamknięto, wróciwszy całą uwagą i wzrokiem całym — na start wyścigowy.

Konie właśnie ruszyły; dzwonek tętniał u sędziowskiej trybuny; wzięły górę nad wszystkiem: wzruszenia i wrażenia — po które się przyszło.

Gdyby wiedziano.

Ba! Gdyby wiedziano, że na pole Mokotowskie przyleciał nie oficer wojskowej awiaty (których się tylu ostatniemi czasy uwijało nad Warszawą), ale *prosto z Paryża* francuski lotnik! Ba! Gdyby wiedziano... Ręczyć można, że cały tłum pobiegłby go witać zstępującego z nieba tam pod parkanem, u szop byłej „Awiaty" ks. ks. Lubomirskich.

To, cośmy wzięli za popis przed trybunami, było łatwem do zrozumienia oryentowaniem się: gdzieby wylądować. No, i trzeba przyznać, że przybysz z daleka zoryentował się lotnie i szybko. Wszak pierwszy raz w życiu ujrzał nietylko nasze pole Mokotowskie, ale Warszawę. I to z lotu ptaka! Trzebaż było w mig dostrzedz *jedyne* miejsce, gdzie (wobec odbywających się wyścigów) można było opuścić się na ziemię... Bystre oko, świetne zdawanie sobie sprawy z okoliczności i warunków!

Powie kto może:

— No, i co: gdyby wiedziano? Może wyprawionoby owacyę, tonącą w superlatywach i przesadach? Komu? Jakiemuś tam francuzowi, co wyruszył — mniejsza: lądem, wodą czy powietrzem! — na połów... ogromnej nagrody. Zdobył ją. Wystarczy. A że awiator jest śmiały i silny, to cóż za dziw? Nie może być przecie: tchórzliwy i anemiczny. O Warszawo! Warszawo! Jakaś ty zapalna!

Powiedzieć łatwo; racyę mieć trudniej, znacznie trudniej.

Gdy Bleriot przeleciał przez morską cieśninę, dzielącą Anglię od kontynentu Europy, kto poniósł go na rękach do Londynu? Anglicy, którym przecie nie przypiąć łatki „zapalności polskiej". Anglicy wyprawili pierwsi francuzowi Bleriotowi taką owacyę, że aż po całym zagrzmiało świecie. I słusznie!

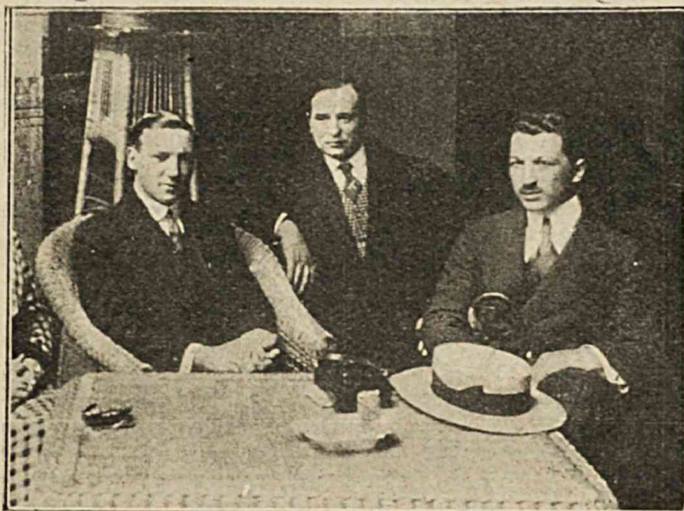
Na miły Bóg! Nie bądźmy rozważniejsi i taktowniejsi od ludności Londynu. I nie skąpmy szczerego, gorącego okrzyku *vivat!* gdy traf zdarzy, że tu na nasz grunt, na nasze ustronie spadnie: *fakt*, znaczący etap w dziejach wszechludzkiej dzielności, wszechludzkiej pracy postępowej, wszechludzkiej wiedzy i kultury.

Takim faktem było przelecenie na aeroplanie jednopłatowym, po raz pierwszy, w dniu 10-tym czerwca b. r., przestrzeni, dzielącej Paryż od Warszawy, w ciągu *czternastu godzin*, licząc w to dwa krótkie popasy.

Cofnijmy się myślą o sto lat wstecz... Cóż za ogromny krok naprzód dała w rozwoju swoim ludzkość przez ten przeciąg czasu!

I oto jeden z widzialnych znaków tego olbrzymiego rozrośnięcia się potęgi człowieka przyniósł nam na skrzydłach swego monoplanu tu, nad Wisłę, dwudziestoletni bretończyk paryski, noszący nazwisko tak warczące i lotne zarazem, jak aeroplanowa śmiga: Brindejonc Des Moulinais.

Niespodziewanego gościa nie mogliśmy powitać; aleśmy go, wedle możności, pozdrowili serdecznie, nietylko, jak nakazywała tradycyjna



Pp. Brindejonc, Dekler *(redaktor „Lotnika i Automobilisty")* i Scipio del Campo, znany lotnik polski. *Fot. Maryana Fuksa.*

gościnność, ale jak nakazywało wyręczenie przez nas w tym wypadku cywilizowanego świata.

Franklina swego czasu uczczono we Francyi nieśmiertelnym heksametrem: *Eripuit coelo fulmen, sceptrumque tyrannis.* Wyobraźmy sobie przybysza z Francyi spadającego literalnie „z nieba" na brzeg Wisły za czasów... Sarbiewskiego. Niewątpliwie tu nad Wisłą uwieńczonoby go nieśmiertelnym jakim dystychem w majestatycznej mowie Tacyta i Horacego, dystychem, co trwałby z pokolenia w pokolenie, upamiętniając złożenie przez Polskę hołdu wielkiemu czynowi.

W domu naszym przekwitła lapidarna, wysokodźwięczna łacina... Patrzmy, aby kwitła w nim zawsze wrażliwość na wszelki *lot*. Wszelki lot, toć-że jest przecie wzbiciem się nad całokształt ziemskiego życia człowieczego i przez to już samo jest wyłamaniem się z życiowych norm, czyli dotworzeniem tego, co nie miało być udziałem człowieka.

Paryż-Warszawa.

Dlaczego wieść o przybyciu lotnika paryskiego do Warszawy roztelegrafowano na świat cały? Wszak zna już świat loty dystansowe Paryż-Madryt i Paryż-Rzym o wiele uciążliwsze i niebezpieczniejsze z powodu przelatywania nad ogromnemi górami?

Lot Paryż-Warszawa wyróżnia się tem, iż dokonany został w ciągu jednego dnia.

Więc można o 4 rano siąść do aeroplanu w Paryżu, odbyć krótki popas w Westfalii, o południu już gościć na lotnisku podberlińskiem w Johanisthalu, a o 6 wieczorem według czasu paryskiego (o naszej 7-mej) być w Warszawie! To była właśnie marszruta paryskiego lotnika. Z tą szybkością nie mógłby współzawodniczyć najszybszy ekspres amerykański.

P. Marceli Brindejonc Des Moulinais od lat dopiero dwóch należy do cechu lotników; ale zdołał już — pierwszy! — przelecieć nad Pirenejami, zdobywając nagrodę za lot Paryż - Madryt; odbył lot okrężny Paryż - Brema-Londyn-Paryż; brał udział w locie okrężnym „Circut d'Anjou", zamierza uczestniczyć jesienią b. r. w locie Paryż-Pekin.

P. Marceli Brindejonc Des Moulinais jest w chwili obecnej jednym ze wszechświatowych koryfeuszów lotnictwa.

Czyliż jest tylko „znakomitością"? Nie; jest czemś więcej jeszcze. Jest symbolem nowej ery w stosunkach międzynarodowych.

Zostawmy bowiem na stronie wszystko, co jest już powiedziane i



P. Marceli Brindejonc, na chwilę przed wyruszeniem w podróż do Petersburga.
Zdjęcie dokonane o godz. 4 min. 55 rano przez Maryana Fuksa.

może być jeszcze powiedziane o doniosłości komunikacyi aeroplanowej lub za pomocą balonów sterowanych. Podkreślmy jeden jedyny szczegół: P. Marceli Brindejonc Des Moulinais przybył do Rosyi — wyraźnie do Rosyi! — nie wylegitymowawszy się na granicy z posiadania pasportu oraz na żadnej komorze celnej nie był rewidowany. Przybył z Berlina, nie troszcząc się o żadne „formalności“, którychby nie mógł uniknąć (choćby był niewiedzieć jaką „znakomitością“), przyjeżdżając do pogranicznego Aleksandrowa powozem, samochodem lub pociągiem. Przybył do Warszawy i — do żadnej odpowiedzialności, o ile wiemy, pociągnięty nie został. Niechby zaś kto inny inną drogą, niż powietrzną, spróbował przekroczyć granicę Rosyjskiego Imperyum, nie opowiedziawszy się odnośnym władzom!

Dlaczegóż panu Brindejonc uszło na sucho? Widziano, niechybnie widziano, jak przelatywał granicę. Leciał — i nikt go nie tknął. Leciał bowiem, jako symbol potęgi ducha ludzkiego, jako symbol — powiedzmy śmiało! — przyszłego braterstwa ludów, co znać nie będzie szlabanów granicznych i „kontrabandy“. Leciał, jak... myśl, o której wyrażają się niemcy, iż jest *zollfrei*, że ocleniu nie podlega.

An der schönen, blauen Donau.

A niemal tegoż dnia, kiedy lotnik paryski wylądowywał w Warszawie, inny pionier awiacyi, od dawna już znany światu, przybywał do Wiednia w balonie sterowym własnego pomysłu.

Hr. Zeppelin, wyruszywszy z Baden-Baden o 5 i pół rano, w osiem godzin potem stał już z balonem swoim nad Schönbrunem, pod wiedeńską rezydencyą cesarza Franciszka-Józefa, który, przyglądając się manewrowaniu balonu, pozdrowił powiewaniem chusteczki salutującego z łodzi „gościa swego“.

Balon „Sachsen“ szedł dwa razy szybciej, niż najszybszy pociąg kuryerski.

Mniejsza jednak o szybkość. Mniejsza też, że inny balon hr. Zeppelina lat temu będzie już ze cztery czy z pięć przeleciał bez popasu 1.100 kilometrów, podczas gdy odległość Baden-Baden od Wiednia wynosi tylko 750 kilometrów. Rzecz w tem, że obecna wycieczka hr. Zeppelina dała światu pokaz przedziwnej, niemal doskonałej sprawności w kierowaniu balonem. Szedł, jak na pasku; wykonywał zwroty, zwalniał i przyśpieszał biegu, opuszczał się — z dokładnością zupełną.

Kwestya kierowania balonem tak dobrze, jak aeroplanem, rozwiązana jest ostatecznie. Wiedeń cały wyległ na ulice i niesłychaną wyprawił hr. Zeppelinowi owacyę.

A hr. Zeppelin nazajutrz, pogościwszy u cesarza austryackiego, znowu balonem swoim poszybował nad jezioro Konstancyeńskie do Friedriechshafen, gdzie, jak wiadomo, znajdują się balonowe warsztaty hrabiego.

I — mimowoli narzuca się zestawienie, że p. Brindejonc Des Moulinais liczy życia 21 rok, podczas gdy hr. Zeppelin właśnie w sposób wyżej opisany urozmaica sobie... 75 wiosnę życia.

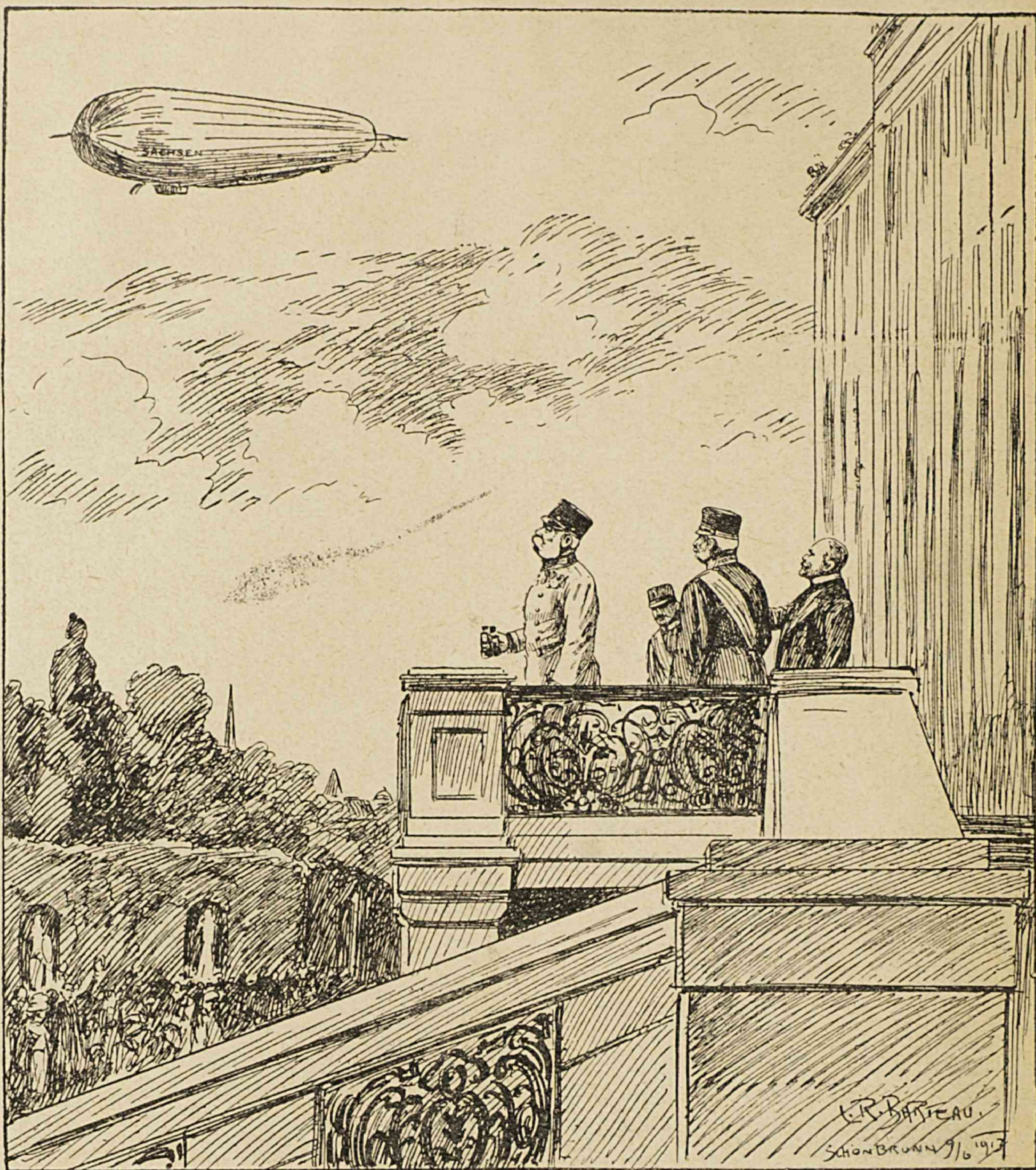
I powiadają ludzie, że ród ludzki stacza się ku zwyrodnieniu, że my, my, ludzie dzisiejsi, pigmejami i chuchrami jesteśmy w porównaniu do antenatów naszych z czasów wojen nietylko krzyżowych, ale siedmioletnich! Twierdzenie zakrawa na żart. A Nanseny, a Scotty, a Nordenskjöldy, a Zeppeliny, a... tacy, jak Brindejonc des Moulinais w 20 roku życia *już* wytrzymujący znakomicie „przejażdżkę“ aeroplanem, jednym tchem, z Paryża do Warszawy?

Doprawdy, chciałoby się do popularnego wykrzyknika: „Niema przestrzeni! Niema oddalenia!“ dodać: „Niema młodych i starych lat wobec żelaznej energii, której, chwalić Boga, ludziom nie ubywa, a chyba przybywa, w miarę, jak ród człowieczy coraz dłużej na ziemskim gości globie!“

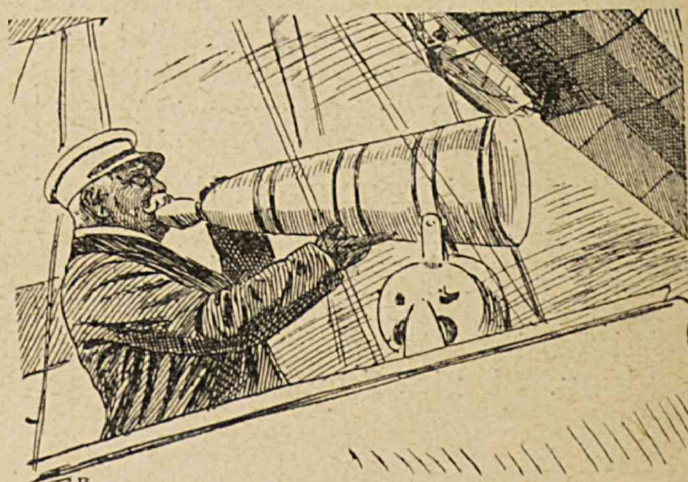
I tak musi być. Zwiększa się pojemność ducha ludzkiego, pojemność ludzkiego umysłu, skala ludzkiej wrażliwości, zakres jego zmysłów zwiększa się wogóle wytrzymałość całej organizacyi człowieczej, aczkolwiek tak, zdawałoby się, zatruwanej i niszczonej niemiłosiernie przez walkę o byt, przez nałogi, przez życie piekielne gorączkowe...

Dokąd zajdzie człowiek?

W furczeniu śmig aeroplanowych gra to pytanie, gra — pytanie, przepojone wskroś dziwną, wielką, nieutuloną niczem melancholią. Gdyż czuje się, iż do jakichś olśniewających celów ludzkość dąży, a wie się, iż oczy własne ujrzą chyba tylko milionową część sekundy owych przewspaniałych dziejów ludzkości... *Cz. J.*



Cesarz Franciszek Józef obserwuje balon hr. Zeppelina z balkonu zamku w Schönbrunn.



Hr. Zeppelin wydaje rozkazy przez megaphon na pomoście swego balonu.

Nasi powieściopisarze o sobie.

Józef Weyssenhoff.

Subtelne, ironiczne karty „poważnych“ rozmyślań Podfilipskiego pozostaną w piśmiennictwie polskiem, jako jeden z cennych dokumentów delikatnej, kulturalnej drwiny niezwykłej miary pisarza i obserwatora, jakim jest Józef Weyssenhoff. Obok Podfilipskiego stanie drugi pomnik jego chwały: „Soból i Panna“. Dwie te książki — to dwie zasadnicze, psychologiczne struny całej twórczości powieściopisarskiej autora „Hetmanów“, „Sprawy Dołęgi“ i drukującej się u nas „Gromady“. „Dni polityczne“ pana Apolinarego Budzisza pozostaną też w historyi wspomnień z lat zwodniczej rewolucyi i zwodniczych nadziei, jakie zrodziła konstytucya petersburska na naszym terenie działalności.

Weyssenhoff należy obecnie do najbardziej czytanych pisarzy. Interesują się jego piórem wszystkie sfery, bo wszystkim daje tęgie, polskie odczucie przyrody, daje żywy obraz współczesności. Może nie wszyscy podzielają ideologiczną stronę jego utworów, ale wszyscy czczą w nim artystę, szanują dużej miary wrażliwość na sprawy smutnej naszej doli. Weyssenhoff, gdy zasiada do pracy, jak sam to mówi, ma gotowy zupełnie w głowie plan. Powieści swoje sam przepisuje i w czasie przepisywania przerabia. Przeważnie skraca, wprowadza różne zmiany stylowe, dociąga wyraz powieści do najbardziej precyzyjnej i konkretnej formy. Gdy zapytałem, kiedy pracuje, odpowiedział mi, że do 1905 roku pracował zawsze po nocach, obecnie zaś zabiera się do pisania od rana. Pisze dziennie od 60 do 150 wierszy. Systematycznie pracować nie umie. Zawsze jakieś przerwy robi sobie w czasie pracy.

— A co najbardziej zaciekawia pański umysł?

— Historya Polski i historya sztuki. W tej dziedzinie przeczytałem bardzo wiele i ciągle czytam, jeżeli zjawi się coś, co warte jest poznania. Gdy piszę — nie czytam rzeczy analogicznych do mojego tematu. Natomiast często wrazie najmniejszej wątpliwości zaglądam do różnych podręczników, których, jak pan widzi, mam pod ręką gromadę.

Istotnie, Weyssenhoff obstawiony jest w pracowni swojej ze wszystkich stron książkami. Wielkie szafy, od sufitu do ziemi, naładowane książkami, atlasami, encyklopedyami, patrzą przezroczystą powierzchnią szyb na swego właściciela.

— Jakich autorów najbardziej pan ceni?

— Trudno mi wszystkich wyliczyć. Wyjątkowy mam kult dla Mickiewicza, jako poety i jako obywatela. Powracam stale do dzieł Słowackiego, Krasickiego, Goethego, Heinego, Maupassanta, Kiplinga. Ze starożytnych najbliższy mi Horacy— często go sobie przypominam.

— Pan tak ceni Horacego?

— Umiem setki jego wierszy na pamięć.

— Jakich książek czyta pan najwięcej?

— W okresie życia mego od 20-go do 40-go roku czytałem dużo z dziedziny historyi i nauk pomocniczych do niej, zwłaszcza do historyi polskiej, epoki Stanisława Augusta — i oddawałem się gorliwie zbieraniu książek, rycin, monet i t. d.— Obecnie przestałem zbierać, więc czytam mniej z tego rodzaju.

Staram się poznawać głośne dzieła współczesne. Wogóle, gdy wezmę książkę do rąk, czytam ją uważnie i do końca; lubię złożyć sobie w głowie wyraźnie ocenę. Dawniej spisywałem nawet sformułowane wrażenia z lektury.

— Czy pan wypoczywa po trudach literackich?

— Polowania, to mój wypoczynek. Sypiam od 7 do 8 godzin na dobę, ale dla polowania mogę poświęcić i te kilka godzin. Wogóle łowy wśród przyrody pierwotnej uważam za jedne z największych życiowych przyjemności.



Józef Weyssenhoff

Gabryela Zapolska.

Czyż jest teatr w Polsce, któryby nie grał „Ahasvera“? Czyż jest bywalec teatralny, nie znający jubileuszowej „Małki Szwarcenkopf“? A te powieści o wszystkiem tem, „o czem się nie mówi“, choć się myśli lub robi. Obyczajowe bowiem malowidła Zapolskiej są świetnie zaobserwowanemi typami naszej codzienności. Te Dulskie, te „panny Maliczewskie“, te wszystkie mizerne, smutne, płowe myszy, żyjące w strasznym młynie wegetującego a dorobkiewiczowsko - przezornego mieszczaństwa — toż to niewyczerpany skarbiec twórczych bogactw Zapolskiej. W malowaniu obyczajowej strony naszej współczesności Zapolska trzyma prym. Praca jej w tym kierunku wywalcza autorce „Felicyana Dulskiego“ świetną stronicę w dziejach piśmiennictwa ojczystego.

Zapolska nie wie, jak powstaje w niej pomysł. Zresztą, żeby być zupełnie szczerą, mówi, iż przychodzi jej często w czasie rozmowy obojętnej, w chorobie, w milczeniu, w pół-śnie. Zjawi się jakaś sylwetka, jedna, druga, porusza się, myśli i te myśli działają, zmieniają się w jakieś tła, czyny. I to staje się już nie odparte, nie zabite niczem.

— Mogę pisać i tworzyć inne dzieła, a to coś, co się zbudziło i dojrzewa, żyje we mnie lata całe i żyć będzie, dokąd nie nabierze tyle mocy, że, mimo wszystko, wydostanie się do życia i przybierze formę twórczą.

Na pytanie, jak odbywa się proces realizowania pomysłu, Zapolska odpowiada:

— Nie wiem, co są notatki, skróty, przeróbki. Pomysł dojrzewa we mnie sam przez się, mimo wszystko — quand même. Tak samo, jak sztuki moje, które piszę odrazu (z brulionów bowiem zwykle suflerują); nie poprawiam nic, nie *czytam nigdy* swych rękopisów. Co się zaś tyczy, kiedy pracuję, oraz ile godzin dziennie, muszę przyznać, że pisanie bardzo mnie męczy. Piszę zwykle rano od piątej lub szóstej. Sztukę piszę zwykle tydzień, akt dziennie. Gdy piszę powieść — zawsze około 300 wierszy dziennie. Ale to męczy mnie nerwowo i fizycznie. Potem nie piszę nic całemi miesiącami. Wystarczy odpisywanie lisów. Czasem po kilkanaście dziennie. I to przecież praca.

— Jaki rodzaj odpoczynku najbardziej lubię? Niekiedy wieś i ciszę grobową, kiedyindziej przeglądanie rycin mód i plotki teatralne. Jak czasem — to zależy...

Cz. Kals.



Zapolska



Budowa gmachu teatru nowoczesnego.

Teatr nowoczesny.

Warszawa otrzyma niebawem nowy gmach, poświęcony sztuce, pod nazwą: *Teatr Nowoczesny*. Gmach, którego zewnętrzne ściany są już na ukończeniu, znajduje się obok Filharmonii, na rogu ulic Siennej i Jasnej, a więc w centralnej i ruchliwej części miasta, posiadającej ze wszystkich dzielnic charakter najbardziej europejski, a zarazem także nowoczesny.

Inicyatorzy nowego projektu nie mogli zrobić szczęśliwszego wyboru, jak powierzając wykonanie planów architektonicznych zaszczytnie znanemu twórcy Teatru Polskiego, p. Czesławowi Przybylskiemu. Dzięki temu, nowy gmach, jak to już teraz widać z zarysowujących się kształtów, łączyć w sobie będzie szlachetną prostotę z wytwornością linii, a stanie się niewątpliwie prawdziwą ozdobą Warszawy.

Teatr Nowoczesny w charakterze swym zbliżony będzie poniekąd do głośnego „Künstler - Theater" w Monachium. Widownia obliczona tylko na 520 osób, (t. j. na tyle, ile mieścił pierwszy teatr warszawski na Placu Krasińskich), ma dziennie wypełniać się dwa albo trzy razy, w święta zaś trzy albo cztery. Sala więc, nieobliczona na wielkie rozmiary, sprawia wrażenie tego, co się nazywa Teatrem Kameralnym, którego w Polsce dotychczas nie było. Do tego celu zastosowana będzie i scena, mająca typ reliefowy t. j. bez perspektywy głębokiej, nie dla efektów szerokich, operowych, monumentalnych, a sprzyjająca architektonicznym i wszelkim innym stylizacyom, nie dającym się zastosować na dotychczasowych normalnie wielkich rozmiarami scenach polskich. Kameralność sali teatralnej i specyficzna struktura sceny dają też maximum akustyki, na której braki lub wady tak skarżą się bywalcy naszych teatrów. Teatr Nowoczesny będzie teatrem wyłącznie jednoaktówek. Pojęcie jednoaktówki jednakże rozszerza tak, że wchodzą w nie nietylko te rzeczy, które grają np. małe teatry paryskie, jak Comédie Royale, Imperial, Th. des Capucines, Trianon-Lyrique, Grand - Guignol, ale i te, a raczej to, co wystawia np. Théâtre des Arts, a zatem i opery jednoaktowe i operetki najwykwintniejszego typu. Wszelkie więc wodewile, „kortelinady", bluety, krotochwile, fraszki, dramolety, pastorale, saquetty, przysłowia dramatyczne, szkice nawet i etiudy, tak nasze, jak i obce, znajdą tu odpowiedni teren w półtoragodzinnym spektaklu. Nie będzie to miało jednakże żadnej analogii z typem t. zw. teatrów „miniatur", zbytnio u nas rozwielmożnionego. Jeżeli który z mnieiszych teatrów może jeszcze wchodzić tu w rachubę, jako zbliżony repertuarem, to „Litiejny" w Petersburgu, lub „Nietoperz" w Moskwie.

Teatr Nowoczesny, którego kierownictwo artystyczne powierzono literatowi odpowiedzialnemu, będzie instytucyą nawskroś artystyczną, negującą wszelkie inne szkodliwe wpływy kabaretów, kinematografów i t. p. Pod tym hasłem otwiera Teatr Nowoczesny swe podwoje dnia 15 września b. r. *an.*

Z teatrów warszawskich.

TEATR POLSKI. „Lilie", dramat w 4-ch aktach H. hr. Morstina.

Gdy przed rokiem „Lilie" wystawił po raz pierwszy w Krakowie Solski, „Świat" zdał obszernie sprawę z sukcesu, jaki osiągnął młody poeta. „Na scenę polską wszedł świeży, piękny, prawdziwy talent, i odrazu ujawnił wysoko rozwiniętą zdolność dramatyczną, odrazu przyniósł dzieło nieskazitelnie wytwornego kunsztu". Z krwawej bajki miłosnej, wysnutej z Mickiewiczowskiej ballady, „bije czar romantycznego piękna, — poezya baśni przemawia swym językiem, utkanym z koturnu i prostoty". Charakteryzując wreszcie całokształt wrażeń, nasz sprawozdawca (Ch.) pisał: „Był to piękny wieczór nietylko samego autora, lecz — nie wahamy się tego powiedzieć — artystycznej kultury polskiej, która zdolną jest do wydawania takich dzieł w najmłodszych szeregach pisarskich".

Powodzenie, jakie osiągnął p. Morstin w Warszawie, nie było zgoła mniejsze. Być może nawet, iż było żywsze. Kapryśna stolica skłonniejszą jest do entuzyazmu, wobec nowych ludzi zwłaszcza. Prawda, że równie chętnie daje się porwać, jak łatwo później zraża się i odwraca.

Tarpejska skała bardziej była daleką od Kapitolu w Rzymie, niż w Warszawie...

Dramat Morstina, jak słusznie zauważył Sygietyński, zawiera więcej melancholii poetyckiej, niż elementu ściśle dramatycznego. Objawił się w nim talent, pełen uroku wiosennego, który ujął nietylko publiczność, ale nawet najbardziej znudzonych i zblazowanych Zoilów, spełniających bez żadnego zamiłowania—uciążliwą służbę w teatrze. W ten sposób nawet usterki i błędy, nieodłączne od pierwszego, młodzieńczego utworu, znalazły pochwałę i uznanie. Nie wpędzą one z pewnością Morstina na manowce; obroni go zdrowa kultura artystyczna i wrodzone poczucie dobrego smaku, którego dawał dowody nietylko, jako pisarz, ale i jako redaktor wykwintnego „Museionu". Nas zaś tem więcej raduje sukces „Lilii", iż autor ich pierwsze bodaj swe poetyckie utwory na łamach „Świata" drukował.

Pomimo wysokiej i nader pracowitej staranności, z jaką dyrekcya Teatru Polskiego wystawiła „Lilie", trudno zgodzić się z samą koncepcyą inscenizacyi, o ile oczywiście nie narzucił jej sam autor. Fantazyę baśniową usiłowano wcisnąć w ramy ścisłości historycznej. Zarówno dekoracye i kostyumy, jak cały układ sceniczny, pomyślane były zbyt realistycznie. Wskutek tego podkreślone zostały słabsze strony dramatu, a niedość uwydatnione zalety poematu. Postać wiarołomnej mężobójczyni ob-



P. Marya Przybyłko-Potocka w roli Pani" w „Liliach" Morstina. *Fot. Malarski i Tavrell.*



Fot. Malarski i Tavrell. „Lilie" hr. Morstina w Teatrze Polskim. Akt I-szy.

niżoną została do poziomu bosonogiej chłopki, zamożniejszej tylko od sąsiadów. Zwiększyło to trudności dla p. Przybyłko-Potockiej, wykonawczyni głównej, niezupełnie dla niej odpowiedniej roli; piękny talent artystki mimo to dał kreacyę, która budzi szczery szacunek. Partnerami jej byli pp. Józef Węgrzyn, tym razem cokolwiek przesadnie rozmiłowany w brzmieniu swego dźwięcznego głosu, i p. J. Leszczyński. *S. K.*

TEATR MAŁY. Ostatnia nowość tego teatru: *„Zdobycie Berg-op-Zoom"*, 4-aktowa sztuka, której autorem jest wybitny aktor francuski, Sasza Guitry, nosi, obok tytułu, znamienny epitet: komedyofarsa. Długie powodzenie, jakiem się ubiegłego sezonu, w paryskim Wodewilu, sztuka cieszyła, zawdzięcza właśnie owej specyalnie francuskiej umiejętności trafnego i dowcipnego utrzymania się w subtelnym półtonie, który się ciągle waha pomiędzy pół-seryo a pół-drwiną — nie decydując się nigdy na żadną stronę. Już sama nazwa: Berg-op-Zoom, oznaczająca fortecę w Holandyi, zdobytą w 18-tym wieku dwukrotnie przez francuzów, jest żartobliwie symboliczna. Fortecą w sztuce jest młoda i uczciwa mężatka, której uczciwości zagraża jednak niebezpieczny szkopuł: idyotyzm męża. Przytem — druga okoliczność łagodząca — kocha się w niej tak zapamiętale człowiek, któremu autor, przez dziwny kaprys, kazał być komisarzem policyi, i tak nadzwyczajnych używa sposobów, aby wzajemność w niej obudzić, że, ostatecznie, nikt się dziwić nie może, jeśli urocza i nieco sentymentalna gąska ulega wkońcu i godzi się na rozwód. Nie o treść zresztą chodzi, ale o sposób interpretacyi, co ma się dziać tak zręcznie i w tak szybkiem tempie, by widz nie miał czasu się zoryentować, że to właściwie jest tylko bardzo wesoły zbieg nieprawdopodobieństw. A w dodatku wystawa ma być świetna, łudząca w szczegółach, zwłaszcza w 2-im akcie — w foyer teatru, u wejścia do lóż...

Artyści Teatru Małego, pomimo sumiennego opracowania, pojęli sztukę i swe role zupełnie na seryo, a co do wystawy — w tych warunkach nie mogła być inną, jak była. *b.*

Śladem Izadory Duncan.



Janina Pol-Dolińska.

Janina Pol-Dolińska z Krakowa występowała w ostatnich czasach z powodzeniem w Krakowie, Lwowie, Poznaniu, Wrocławiu, Dreźnie itd., jako tancerka klasyczna w stylu M. Izadory Duncan. Krytyka podnosi artyzm, muzykalność i piękność gestu młodej tancerki, która ma zamiar ukazać się niebawem w Warszawie.

Teatr Niezależny we Lwowie,

wystawił „dramat karnawałowy" znanego krytyka, Wł. Kozickiego, „Wolne duchy", znany z wydania książkowego. Rolę Sulamitki objęła pani Marya Dewiczowa. W grze jej drgały wszystkie struny uczuciowe, w jakie autor uposażył romantyczną i namiętną Sulamitkę; oddała tę postać stylowo pod względem zewnętrznym, a szczerze i z wytworną intuicyą pod względem gry nieskazitelnej. Artystka rokuje najlepsze nadzieje dla dramatu polskiego. Przebyła szkołę Romana Żelazowskiego i znaną już jest publiczności lwowskiej ze sceny i estrady. Posiada doskonałe warunki zewnętrzne, a surowe piękno jej wyniosłej postaci szczególnie usposabia ją do ról dramatycznych i bohaterskich. *Mog.*



Marya Dewiczowa.

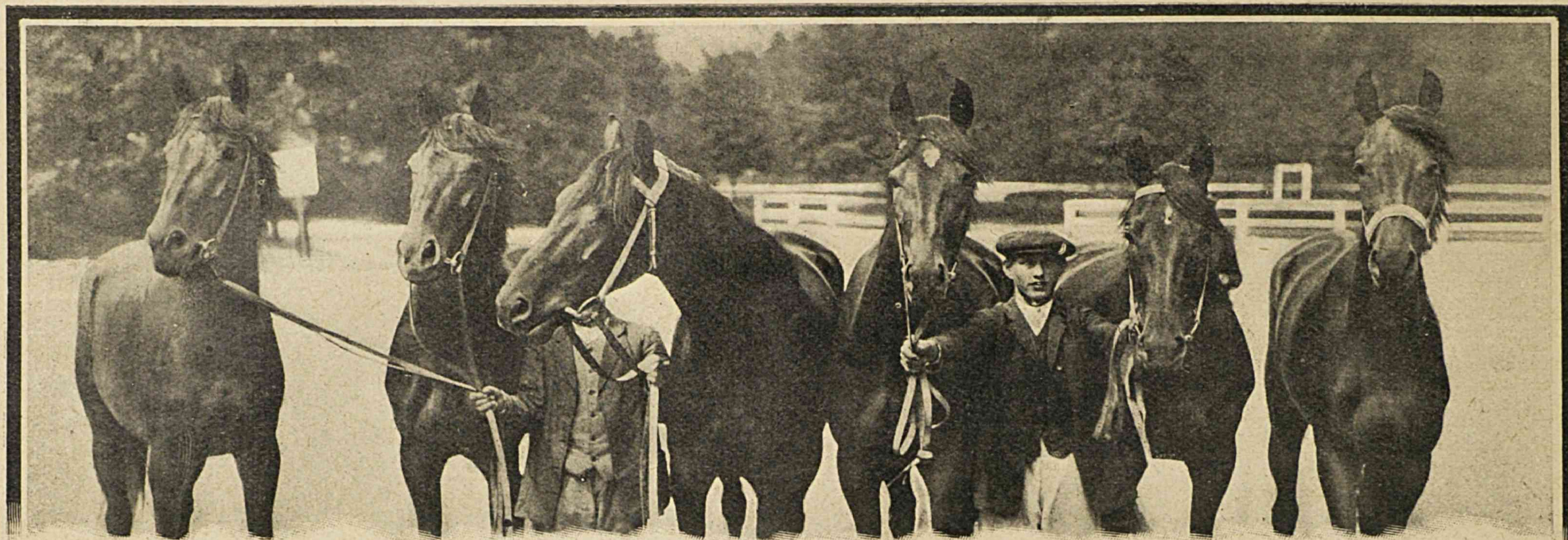
Otwarcie kursów dla podleśnych w Warszawie.

Fot. Saryusz Wolski.



Prezes wydziału leśnego C.T.R., Zygmunt hr. Broel-Plater, w dniu 16 b. m. dokonał otwarcia kursów w obecności profesorów i słuchaczy.

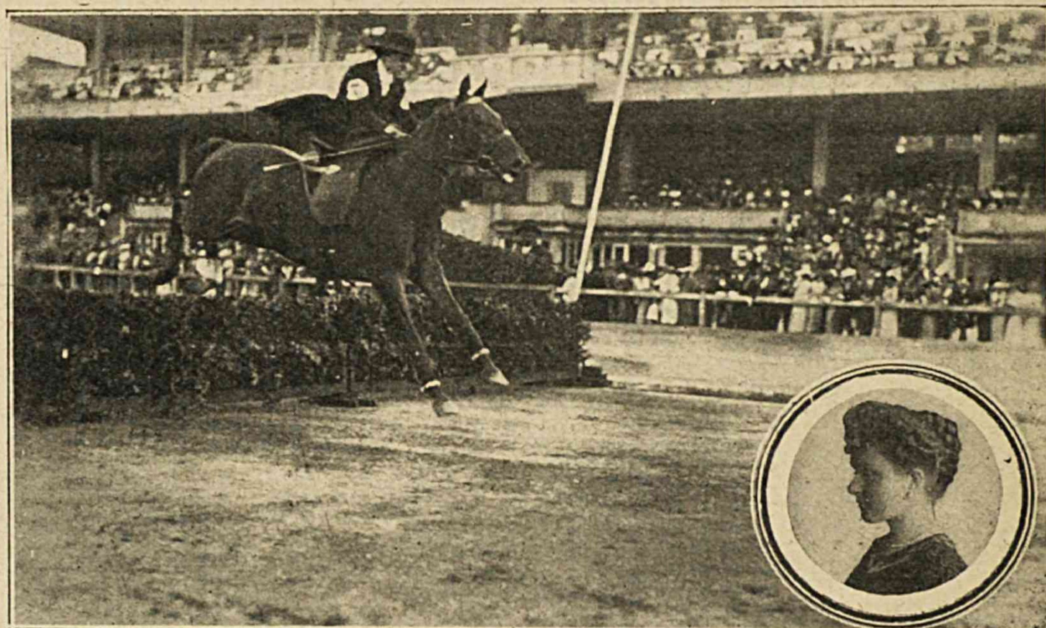
Fot. Saryusz Wolski.



WYSTAWA KONI w WARSZAWIE. Grupa klaczy półkrwi, po ogierze pełnej krwi „Bussento", p. Cz. Baczyńskiego ze Smiłowa, która otrzymała najwyższą nagrodę i medal srebrny od Tow. Wyścigów Konnych.



WYSTAWA KONI. Grupa sędziów: pp. dr. Water, Betlej, Daszewski, Morawski Michalski, Mroziński i red. Wotowski.



ZWYCIĘSTWO POLSKIEJ SPORTSLADIE W WIEDNIU.

Pani Marya z Wodzińskich Zandbangowa.

Konkurs kucia koni w Warszawie.

Fot. Maryana Fuksa.



Staraniem Sekcyi chowu koni przy C.T.R., odbył się w kuźni magistrackiej konkurs, w którym wzięła udział znaczna liczba kowali miejscowych i prowincyonalnych.

Sportsmanka polska na konkursach hippicznych w Wiedniu.

W ubiegłym tygodniu, mniej-więcej w okresie „Derby" wiedeńskiego, odbył się tam kilkodniowy meeting sportowy z obfitym programem hippicznym, w którym — oprócz jeźdźców — wzięły również udział damy.

Wśród dam — jako pierwszorzędna amazonka, wystąpiła chlubnie znana z zeszłorocznych konkursów w Rownem, oraz tegorocznych we Lwowie, pani Marya z Wodzińskich Zandbangowa, — która na „Zeppelinie" p. T. Dachowskiego zdobyła I nagrodę, a na własnym „Black and White" V-tą — piękne przedmioty wartościowe.

Obok podajemy zdjęcie dzielnej amazonki na „Zeppelinie", w zwycięskim biegu na torze wiedeńskim.

Odpowiedzi redakcyi.

Stałemu Prenumeratorowi. Rzeczoznawcą dobrym w Warszawie jest p. Kolasiński. Adresu udzieli Tow. Zachęty Sztuk pięknych. Adresów rzeczoznawców zagranicznych nie posiadamy.

Wystawa w Mińsku Mazowieckim.

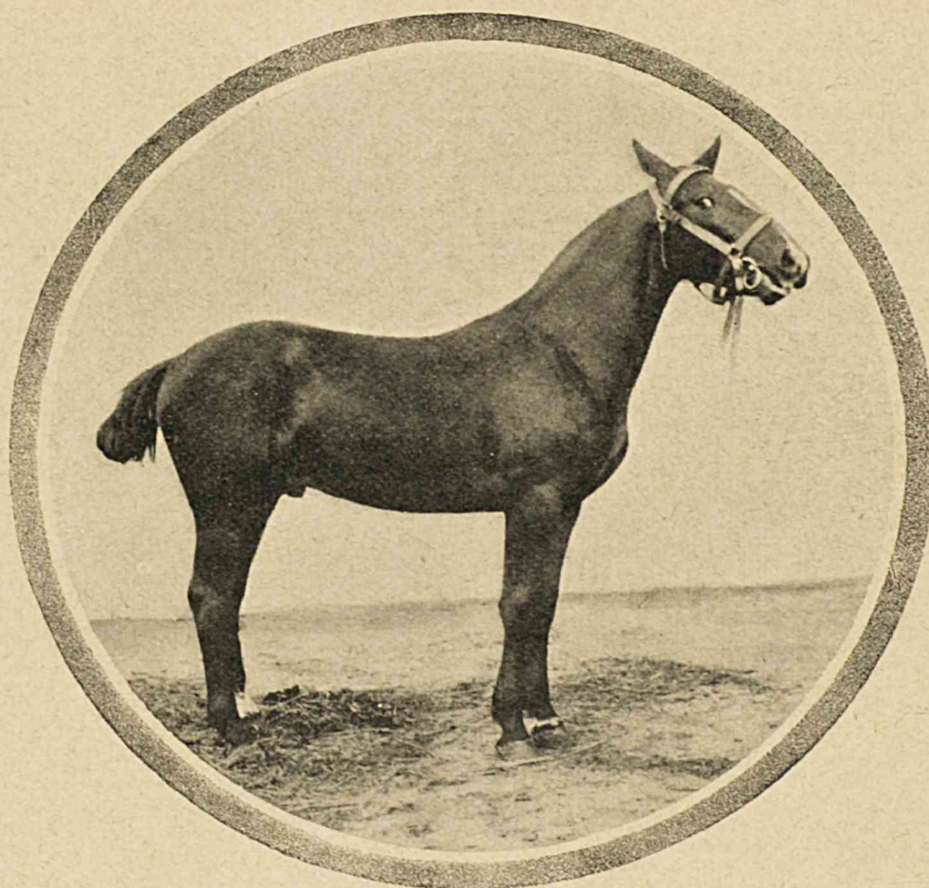
Specyalne zdjęcia dla „Świata" Maryana Fuksa.



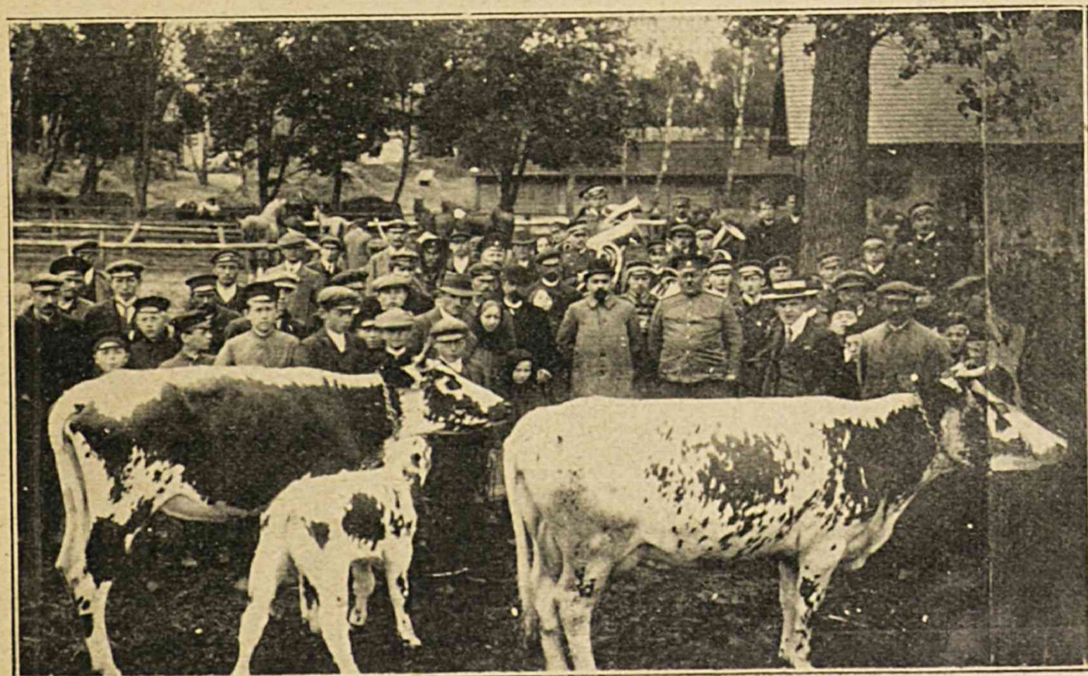
Ogólny widok wystawy.



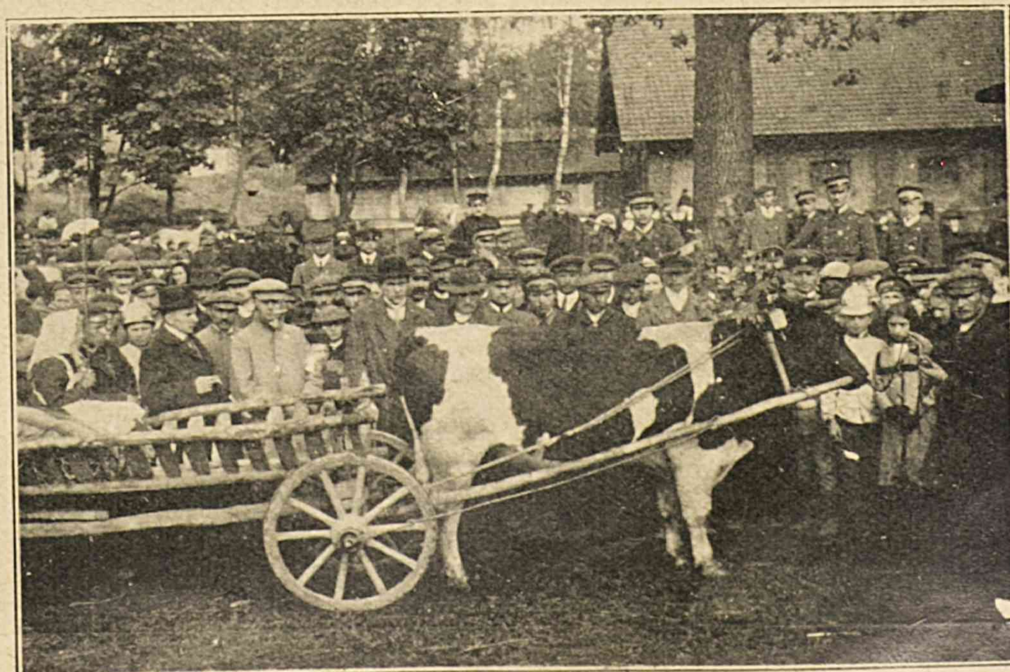
Komitet wystawy.



Ogier „Turban" (nagroda I-sza), własn. włośc, K. Siwca z Dąbrowy.

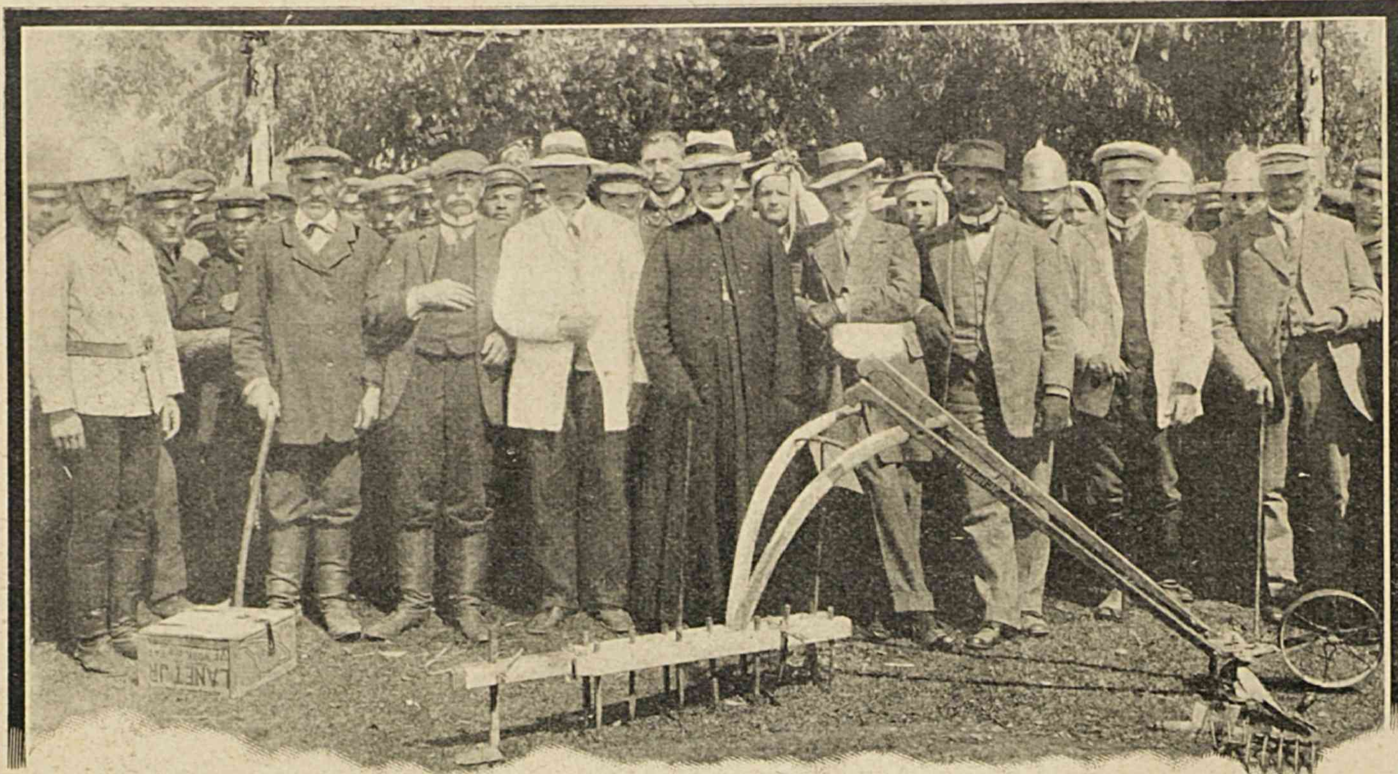


Krowy odznaczone III-cią nagrodą.



Wół w zaprzęgu, I-sza nagroda, własność p. Stanisława Gańko z Lubomina. (Stanisławskie Kółko Roln.)

Z życia prowincyi.



Wystawa bydła rasy czerwonej polskiej w Krasnosielcu, gub łomżyńskiej. Grupa komitetu: pp. Jakób Grabowski, Wojciech Bąkowski, Stan. Goljaszewski, ks. Adrejtykus, Radosław Krajewski i Marceli Tański. *Fot. F. Najierkowski, Pułtusk.*



Straż ogniowa ochotnicza w Starożrebach, zorganizowana po dwuletnich zabiegach przez p. J. Osieckiego (x).



Przedstawienia trupy włościańskiej, pod kierownictwem pp. Kalinowskiej i Podlewskiej, zapełniały salę Płońskiej straży ogniowej po brzegi.

Jubileusz księgarza

Właściciel jednej z najstarszych polskich księgarń nakładowych, istniejącej od r. 1848, Feliks West w Brodach w Galicyi, obchodził 50-lecie swej pracy zawodowej. Firma Westa zapisała się zaszczytnie w naszym ruchu księgarskim, zwłaszcza w ostatnich czasach. Do wybitniejszych jej nakładów należy wydawnictwo „Arcydzieł polskich i obcych pisarzy“ (dotychczas tomów 84), siedmiotomowe wydanie dzieł Mickiewicza w opracowaniu prof. J. Kallenbacha, oraz wydawnictwo „Epos“ (dotychczas tomów 5), pod redakcyą Antoniego Langego, dające arcydzieła epiki światowej wszystkich czasów w streszczeniach, wyciągach, lub pełnym tekście. Ku czci jubilata - właściciela wydali współpracownicy firmy piękny katalog jego nakładów, poprzedzony tekstem literackim, w którym znalazły się przygodne, z historyą lub zadaniami księgarstwa związane utwory Kallenbacha, Zyg. Wasilewskiego, Fr. Rawity-Gawrońskiego, prof. W. Hahna, Flacha i innych. Wydawcy katalogu zwrócili się także do wszystkich księgarzy polskich z rodzajem ankiety na temat doświadczeń polskiego ruchu wydawniczego. Na zaproszenie to, które mogło było dać wynik bardzo ciekawy i cenny, nie nadeszła jednak — ani jedna odpowiedź.



Feliks West.



Rządy policyjne w Wielkopolsce.

W Wielkopolsce nastały od Nowego Roku rządy policyjne. Policya pruska węszy wszędzie polskich „spiskowców“, urządza najazdy na dwory obywatelskie, jak to się stało w majątku Żółtowskiego w Ujeździe i Hulewicza w Kościankach. W Poznaniu samym zbliżenie się do pomnika Mickiewicza grozi ciekawemu a nieznającemu stosunków podróżą do urzędu policyjnego. Polskie stowarzyszenia i zgromadzenia w kołach zamkniętych bywają również niepokojone przez policyę zupełnie bezprawnie. W ostatnich dniach zasądzono wyrokiem policyjnym znaną działaczkę społeczną, p. Anielę Tułodziecką, na 12 dni więzienia za urządzenie t. zw. „pogadanki dla matek“. Pogadanki owe urządzano od szeregu lat i policya je tolerowała, dopiero w r. b. uznano je za niebezpieczne dla państwa.

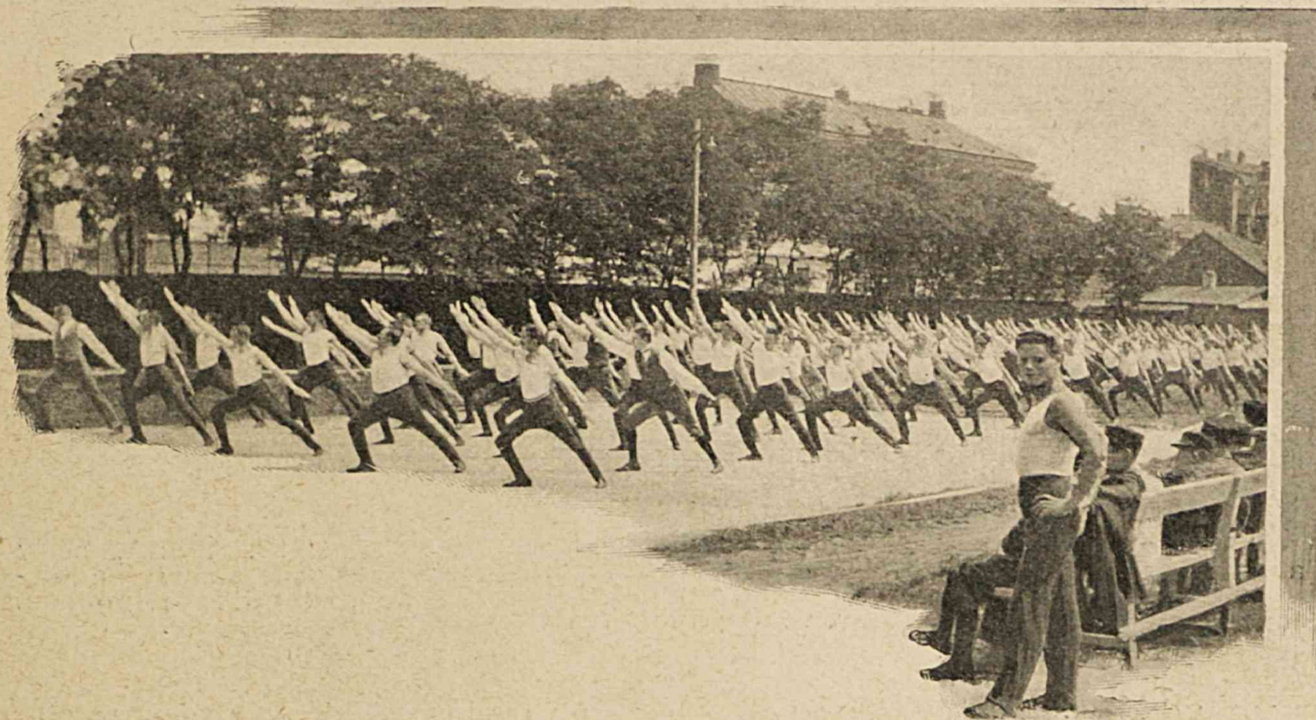


Aniela Tułodziecka.

Poznań.



Z Warszawskiego Tow. Sportowego.



W dniu 8 b. m. na boisku Warsz. Tow. Sport. na Dynasach, odbyły się ćwiczenia sportowe i gimnastyczne pod kierunkiem pp. K. Noskiewicza i St. Szczepkowskiego.

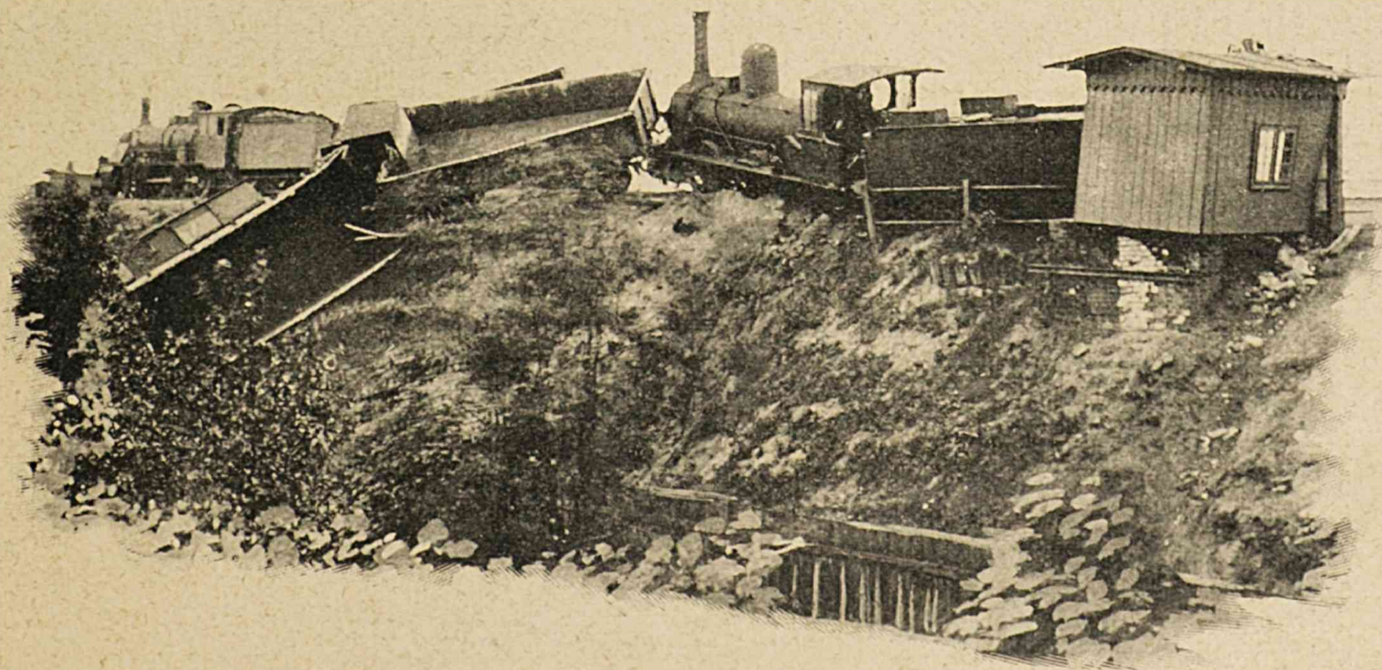
Wycieczka Stow. Kupców Polskich na III-ci most.



Uczestnicy wycieczki z organizatorem, gospodarzem Stow. K. P., p. Stan. Hirszlem (1), pomocnikami nacz. budowy III-go mostu, inż. Bron. Plebińskim (2) i Wacł. Paszkowskim (3) na czele.
Fot. Maryana Fuksa.

Katastrofa kolejowa w Piotrkowie.

Specyalne zdjęcie dla „Świata" firmy Z. Majcherski.



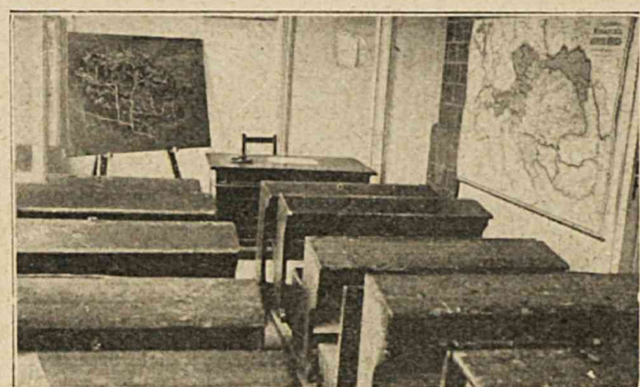
Dnia 11 czerwca, pociąg manewrujący wpadł, skutkiem źle nastawionej zwrotnicy, na bocznicę, rozbił zakończenie znajdującego się tam pociągu i przeszedłszy siłą rozpędu kilkanaście łokci, zatrzymał się o podmurowaną budkę drewnianą. Rozbiciu uległo 6 wagonów, a kilku ludzi ze służby odniosło obrażenia.

Zamordowanie nauczyciela we Lwowie.

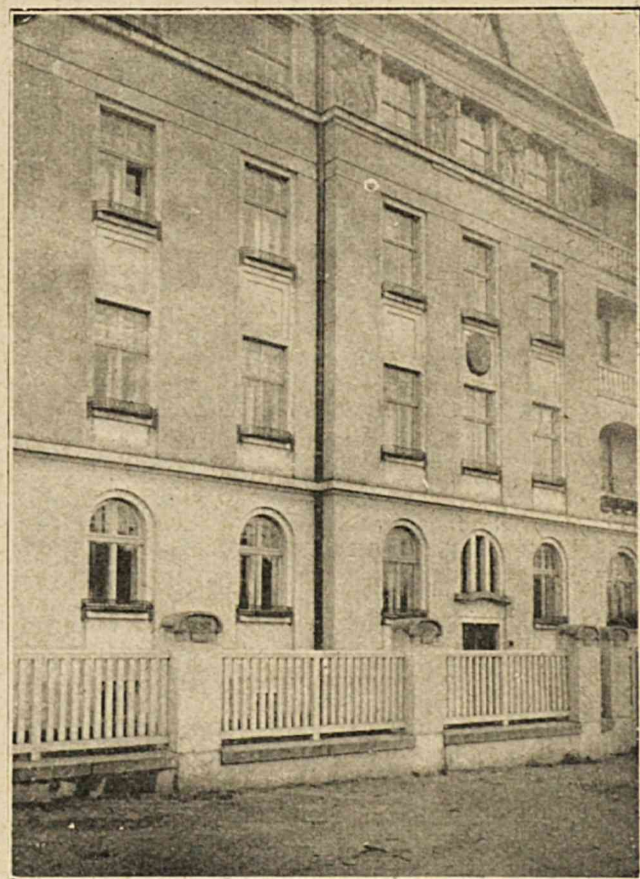
Karol Butkowski padł ofiarą wykonywania obowiązków i w słusznej obronie godności osobistej i profesorskiej. Był nauczycielem literatury polskiej od lat 3. Dobrocią, taktem i łagodnością zjednał sobie uznanie kolegów i przywiązanie uczniów. Rusini demonstracyjnie omijali jego wykłady, gdyż atmosfera agitacyjna przeciwpolska wciąż przesyca miazmatami nienawiści ich dusze.



Karol Butkowski.



Klasa, w której padł strzał morderczy.



Fragment gmachu seminaryum nauczycielskiego we Lwowie.

Eliasz Dzegała, uczeń trzeciego kursu, był repetentem i znany był z lenistwa. Zamachu dokonał, gdyż chciał pomścić złe stopnie, jakie miał z polskiego, ruskiego, niemieckiego, geografii i fizyki.



Eliasz Dżegała.



ADAM KRECHOWIECKI obchodził 30-lecie na stanowisku naczeln. red. „Gazety lwowskiej”.



STANISŁAW LENC zdobył złoty medal za portrety na wystawie w Glaspalast w Monachium.

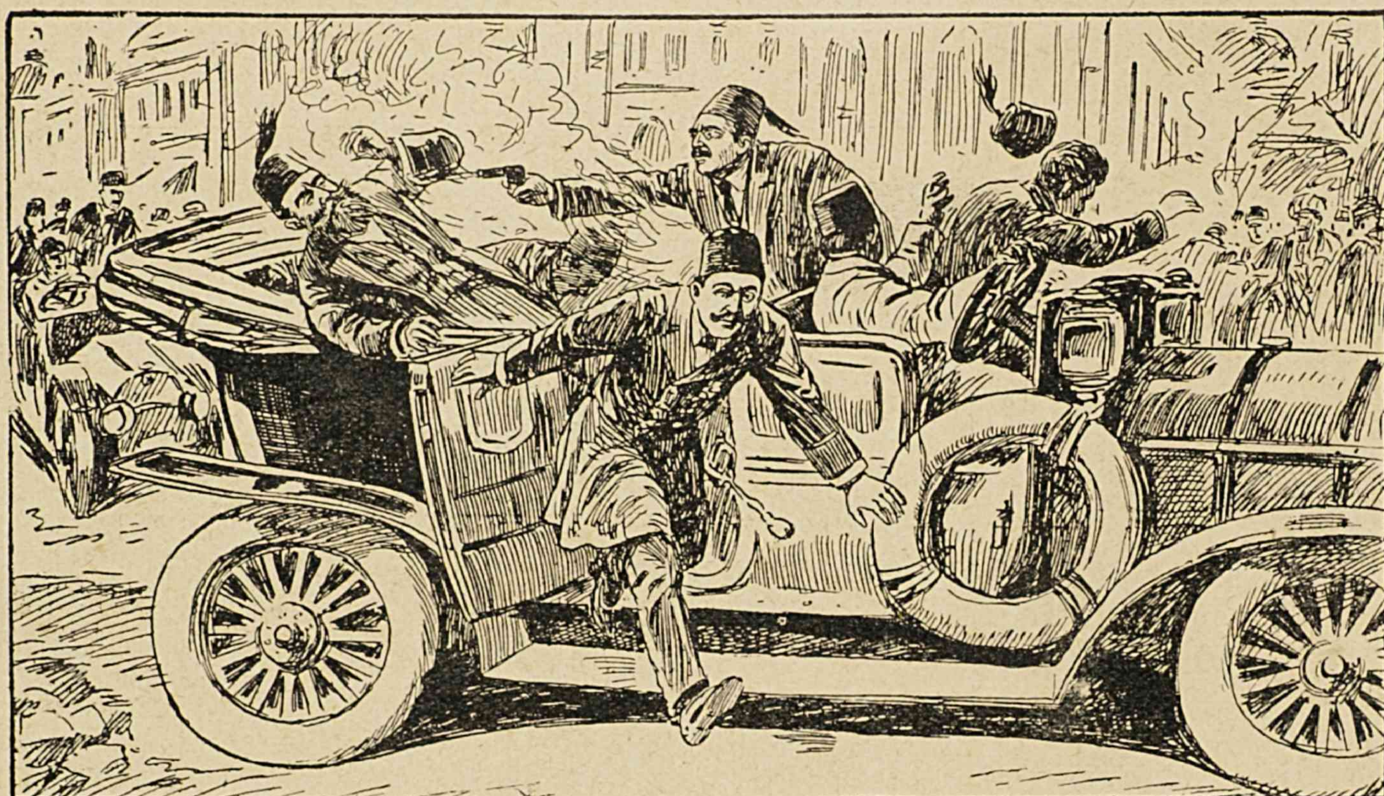


ROMAIN ROLLAND, powieściopis., otrzymał od Akad. franc., po 5-krotnem głosowaniu, wielką nagr. liter.



STEFAN hr. TISZA, nowy prezes ministrów węgierskich, objął tekę po min. Lukacs'u.

Zamordowanie wielkiego wezyra w Konstantynopolu.



Zabójstwo Machmuda Szefketa paszy.

Najważniejsze wypadki minionego tygodnia.

SPRAWY POLITYCZNE.

Najważniejszy fakt tygodnia: depesza Cesarza Rosyjskiego do rządów serbskiego i bułgarskiego, doradzająca im pokojowe i polubowne załatwienie sporu o podział terytoryalny łupu.

Przedstawiciele mocarstw wręczyli rządom serbskiemu i bułgarskiemu żądanie zdemobilizowania armii. Nie można ręczyć, czy te starania zapewnią pokój.

Zabity został w Konstantynopolu wielki wezyr, Szefket. Przypuszczają, iż do tego popchnął książę Saba Eddin. Spodziewają się w Turcyi starotureckich agitacyi i prób powrócenia na tron Abdul-Hamida.

Samorząd irlandzki został powtórnie uchwalony w Izbie Gmin. Po trzeciem uchwaleniu wejdzie w życie, mimo opozycyi Izby Lordów.

Socyaliści niemieccy przygotowują strejk powszechny dla poparcia żądania zreformowania sejmu pruskiego.

Z NAD NEWY.

Niepokojące pogłoski nie przestają krążyć o rozwiązaniu Dumy i zmianach ministrów. Na premiera wysuwany jest raz Samarin, drugi raz Szczegłowitow. Półurzędowe zaprzeczenia nie są zdolne zaprowadzić spokoju.

Duma niezmiernie energicznie potępia działania ogólne rządu, zarówno w szeregu mów opozycyjnych, jak i w formułach, uchwalanych przy zatwierdzaniu budżetów.

Maklakow, poseł moskiewski, wypowiedział mowę opozycyjną o czynach ministra sprawiedliwości, która zrobiła niezwykłe wrażenie.

Polscy posłowie głosują przeciwko preliminarzom budżetowym. Łempicki, ks. Maciejewicz, Parczewski uzasadniają to stanowisko.

Prawo o szkole prywatnej przeszło w Radzie Państwa w formie liberalniejszej od obecnych przepisów. Tylko rosyjska historya i geografia będą wykładane po rosyjsku. Nie będzie żadnych ograniczeń dla narodowości nauczycieli.

Sąd przysięgłych proponuje Szczegłowitow w nowej gubernii chełmskiej,— z ograniczeniami żywiołu polskiego. Tylko 3 katolików będzie mogło zasiadać z 8 prawosławnymi i 1 żydem.

NASZE SPRAWY.

Rusin, uczeń seminaryum utrakwistycznego we Lwowie, Dzegała, zastrzelił profesora języka polskiego, Butkowskiego. Oburzenie bezmierne.

Rada Narodowa Wielkopolski ukonstytuowała się ostatecznie przez wybór delegatów z nowowybranego Koła Polskiego do Sejmu pruskiego.

Przed wyborami do Sejmu Lwowskiego życie galicyjskie wstąpiło w okres niezdrowych podejrzeń: Oskarżają ludowców o przymierze z ukraińcami, a narodowych demokratów ze starorusinami.

Do wyborów sejmowych idą razem: z jednej strony ludowcy i demokraci, z drugiej autonomiści, centrowcy i narodowi demokraci. Konserwatyści krakowscy połączą się już w sejmie — z większością...

Polacy nie wzięli udziału w jubileuszu Wilhelma II i głosowali przeciwko powiększeniu armii niemieckiej (wraz z socyalistami).

SPRAWY SPOŁECZNE.

Trzeci zjazd naszych kooperatystów w Warszawie wykazał mierny, ale stały i pomyślny rozwój współdzielczości spożywczej.

LITERATURA I SZTUKA.

Przedstawienia teatru lwowskiego w Paryżu nie zyskały żywszego powodzenia. Krytyka przyjęła je zdawkowemi lub ironicznemi komplementami. Publiczność nie dopisała.

Kasa Mianowskiego miała w ubiegłym roku prawie pół miliona rubli dochodu ze swych pól naftowych na Kaukazie.

RÓŻNE.

Bandyta Dzinkowski, skazany przez sąd wojenny na śmierć, został powieszony w warszawskiej cytadeli.

Wystawa w Kijowie.

Stan ekonomiczny Rusi.

Część dawnej obszernej prowincyi Rzeczypospolitej, zwanej Rusią, dziś, jako trzy gubernie imperyum rosyjskiego, nosi urzędową nazwę: „kraju południowo-zachodniego".

Przestrzeni ma 144,736 wiorst kw., mieszkańców przeszło 12 milionów: Rusini, urzędownie głoszeni, jako gałęź plemienia rosyjskiego, zwana małorusami, (77%), żydzi (12%), rosyanie, nazywani urzędownie wielikorusami, (4%) i polacy, których cyfra, wedle dzieła p. Bartoszewicza, wynosi około miliona. Dalej idą: niemcy (około 200 tys.), czesi (około 30 tys.) i inne drobne narodowości napływowe.

Głównem źródłem bogactwa krajowego jest rolnictwo i przemysł rolny. To też nie obojętną jest rzeczą rozejrzenie się w stanie posiadania ziemi wogóle, a rzeczą niezmiernie ciekawą jest rozstrzygnięcie pytania: ile ziemi znajduje się w ręku polskiem i w jaki sposób pod względem ekonomicznym to posiadanie się grupuje.

Ugrupowanie narodowości.

Niestety, statystyka urzędowa bynajmniej nie miała na celu zobrazowania stanu ekonomicznego kraju. Cel był tylko polityczny: rozklasyfikowanie wyborców. Często również takiem czy też innem zestawieniem kierowała polityczna tendencya.

I cenna skądinąd praca Joachima Bartoszewicza, z której wiele cyfr zaczerpnąłem, bynajmniej nie daje materyału do odpowiedzi na pytania: jak się przedstawia w cyfrach wielka własność — latyfundya; jaki jest stan średniej posiadłości jedno lub niewielofolwarcznej; jak się przedstawia własność drobna, włościańska, gdzie sam właściciel i jego rodzina fizycznie pracują na roli; jak, wreszcie, wygląda stan posiadania zagrodników, którzy bez zarobkowania nazewnątrz z ziemi posiadanej utrzymaćby się nie mogli.

W 1905 roku własność ziemska na Rusi, według Bartoszewicza (Na Rusi polski stan posiadania), grupowała się w następujący sposób w tysiącach dziesięcin:

Własność prywatna . . .	6,538
Własność uwłaszczonych włościan	6,159
Własność państwa, instytucyi i t. p.	1,355
Razem tysięcy dziesięcin .	14,052

Przechodząc do wyeliminowania z całości różnych grup własności polskiej, posiadamy cyfry, dotyczące jedynie wyborców, a więc z pominięciem osób poddanych zagranicznych, własności Towarzystw przemysłowych, wreszcie posiadłości osób, dla różnych przyczyn do głosowania nie upoważnionych.

Ponieważ tak zwana urzędownie większa własność, dająca pełny cenzus przy wyborach ziemskich, acz w różnych powiatach różnem minimalnem posiadaniem określona (przeciętnie wynosi 100 dziesięcin), a w najżyźniejszych okolicach na 50 dziesięcin, nie będziemy przeto zbyt dalecy od prawdy, jeżeli tę klasę posiadłości zaliczymy do grup *wielkiej* własności, t. zw. latyfundyów, i średniej, folwarcznej, wziętych razem.

Taka własność zajmuje na Rusi przestrzeń 4,535 tys. dziesięcin, z czego w ręku polskiem pozostaje 2,202 tys. dzies., t. j. 48,5%. Pomienione obszary należą do 4,638 osób— w czem polaków 2,124, t. j. 45,8%.

Limitum 50 dziesięcin w powiatach żyznych w statystyce urzędowej bywa w miejscowościach mniej żyznych podwyższone, w miarę, jak wartość ziemi spada, i wyjątkowo wprawdzie, ale w pow. owruckim stanowi 250 dziesięcin.

Właściciele mniejszych obszarów, poniżej zaznaczonego limitum, zaliczeni są do dwóch grup: 1) posiadających $^1/_5$ cenzusu, i 2) posiadających $^1/_{10}$ cenzusu.

Zważywszy, że różnice między jednostkami gospodarczemi obu grup nie mogą pod względem ekonomicznym być wielkie, możemy bez poważnej omyłki zlać te obie grupy w jedno pod nazwą *mniejszej* własności.

Taka własność na Rusi posiada ogółem 473 tys. dziesięcin, z których polacy władają 103 tys. dzies., t. j. blizko 22% ogólnej przestrzeni drobnej własności.

Liczba posiadaczy mniejszych, typu włościańskiego, wynosi ogółem 23,082 osoby, w czem polaków 3,932, czyli 17%.

Z cyfr powyższych żadnych wniosków ekonomicznych, ani o gospodarce włościańskiej wogóle, ani o rolnikach-polakach, prowadzących gospodarstwa włościańskie, wyprowadzać niepodobna, nie zawierają bowiem one całkiem danych o władaniu ziemią włościan, gospodarujących na przestrzeniach uwłaszczonych, które to gospodarstwa, jak wyżej zaznaczono, zajmują przestrzeń 6,159 tys. dzies.

Ziemia i jej owoce.

Na całej przestrzeni Rusi warunki gleby są bardzo różne. Północna część kraju, mniej-więcej na północ od linii kolei Kowel-Koziatyn-Kijów, tak zwane Polesie, przeważnie posiada glebę lekką, w wielu razach moczarowatą, warunki zbliżone do warunków Polesia właściwego. Tam, mimo silnego przetrzebienia, znaczną część powierzchni ziemi pokrywają lasy, a w wielu miejscowościach prowadzi się gospodarstwo łąkowe.

Rolnictwo zaś przeważnie oparte jest na uprawie żyta, kartofli, owsa i chmielu, oraz na gospodarstwie mlecznem.

Południowa część Rusi jest całkowicie pod panowaniem buraka cukrowego i pszenicy, w poważnej części jarej.

O produkcyi rolnej daje pewne pojęcie statystyka kolei Poł.-Zachodnich, która linią Znamionka-Birzuła-Odesa obsługuje część Chersońszczyzny — dawnych Dzikich Pól— i całkowicie Besarabię.

W roku 1912 wyekspedyowano: 113,466 tys. pudów różnego zboża, w czem pszenicy 24,596, żyta zaś 9,698 t. p.

Odbiorcami tego zboża były stacye kolei Poł.-Zach., a w tej liczbie i port odeski, skąd połowa idzie zagranicę, jako ziarno. Na stacye wewnętrzne wysłano 69,894 tys. pud., na inne koleje 39,592 tys. pud.

Druga połowa zbóż zostaje przed wywiezieniem przerobioną przez miejscowe młyny.

Za granicę przez Odesę zboże w ziarnie wywozi niemal wyłącznie: Besarabia, gub. chersońska i południowa część gub. podolskiej.

Stan młynarstwa na Rusi tak się przedstawia:

	Ilość młynów.	Przerób dzienny.
Gub. Kijowska	123	2.040 t. j.
Wołyń	115	155 „
Podole	143	112 „

Ogółem 386 młynów o przerobie dziennym — 2,307 tys. pud.

Na stacye kolei Poł.-Zach. dostawiono w roku ubiegłym mąki, krup i t. p. 23,724 t. p. i 10,604 t. p. otrąb, z czego na inne koleje przypada 14,676 produktów młynarskich i około 10 milionów odpadków, stanowiących paszę dla inwentarza.

Młynarstwo, podobnie jak i handel zbożem, znajduje się na Rusi, niemal bez wyjątku, w ręku izraelitów, i jeżeli gdzieś jakiś właściciel-chrześcianin nie sprzedał i nie wydzierżawił swego młyna żydowi, a prowadzi go osobiście, to zawiera umowę z kupcem zbożowo-mącznym, któremu za umówioną opłatą miele jego zboże.

Produkty mączne, wyprawiane na drogi sąsiednie, są ekspedyowane do Warszawy, Łodzi, Częstochowy, Sosnowca, Rygi, Libawy i innych centrów przemysłowych. Królestwo żywi się wyłącznie prawie mąką i kaszą Rusi.

Otręby wywożone są drogami żelaznemi częścią do Królestwa, częścią do Niemiec, podobnie, jak i znaczna część zboża w ziarnie.

Gorzelnictwo.

Poważnym konsumentem płodów rolnych są gorzelnie, które na

Rusi przerabiają i melasę cukrownianą.

Stan przemysłu gorzelnianego w cyfrach przedstawia się, jak niżej:

	Ilość gorzelni.	Prod. roczna.
Gub. Kijowska	60	192,136 tys.
Podole	79	231,884 „
Wołyń	102	150,127 „

Ogółem gorzelni: 241 z produkcyą roczną 574,147 tys. stopni.

Dla całości wypada zaznaczyć, że na Rusi jest czynnych 86 browarów i 23 olejarnie. Zakłady te przeważnie są drobne i obliczone na konsumpcyę miejscową.

Cukrownictwo.

Istnienie cukrownictwa na Rusi datuje się od lat czterdziestych ubiegłego stulecia i pierwiastkowo przemysł ten nosił charakter przemysłu czysto rolnego, a nawet domowego. Maszyn do wyrobu cukru nie używano prawie żadnych, zadawalając się pracą ręczną. Gotowano soki, nie, jak dziś, na parze, ale na ogniu. Takie fabryczki wyrabiały cukru po 800—1,200 pudów rocznie.

Najwyższy rozwój podobnego cukrownictwa sięga roku 1850, kiedy ilość fabryk w państwie doszła do liczby 432, a wyrabiano cukru przeszło milion pudów.

Uwłaszczenie włościan pozbawiło cukrownictwo bezpłatnych rąk roboczych, a rok 1863 dokonał reszty. Wiele cukrowni wtedy przestało istnieć.

Zarządzenia celne poprawiły jednak sytuacyę, ale przemysł cukrowniczy przerodził się, przestał być przemysłem pobocznym, rolniczym. Przybrał też wówczas kształty wielkiego przemysłu, a znaczna część istniejących cukrowni oraz nowopowstających organizowała się, jako towarzystwa akcyjne.

Wskutek gwałtownego spadku cen, jako rezultat dużej nadprodukcyi, w roku 1885 nastąpił kryzys, który pociągnął za sobą upadek wielu cukrowni. W celach ratunkowych utworzono wtedy *syndykat cukrowniczy*, który unormował produkcyę i poprawił sytuacyę. W roku 1895 inicyatywę w tej mierze przyjął na siebie rząd, wobec czego syndykat przestał istnieć. W celu uregulowania pośrednictwa między cukrownikami i rządem, w roku 1897 zorganizowało się Wszechrosyjskie Towarzystwo fabrykantów cukru z siedzibą w Kijowie.

Według rocznika Tołpygina („Jeżegodnik po sacharnoj promyszlennosti“), w kampanii roku 1911-12 w całem państwie pracowało 288 cukrowni, wyrabiających kryształ z buraków, nie licząc rafineryi. Przestrzeń plantacyi buraczanych wynosiła 710,808 dziesięcin. Zebrano buraków 81,627,064 berkowców 10-cio pudowych. Wyrobiono kryształu 113,059,794 pudy, melasy 29,769,592.

W przytoczonych cyfrach zamknąłem i dane z 50 cukrowni Królestwa, jak również i 141 fabryk na Rusi.

Polskie cukrownie.

Mówiąc o polskich cukrowniach, rozumiem takie przedsiębiorstwa, które całkowicie oparte są na polskim kapitale. Tych zaś, które w różnych kalendarzach i rocznikach figurują, jako własność p. N., dzierżawione przez Tow. X., za polskie nie uważam, choćby p. N. był arcypolakiem, gdy w Towarzystwie X. kapitału polskiego niema.

Otóż polskich, w całem znaczeniu, cukrowni mamy na Rusi 49, a więc 35,4%.

Cukrownie te we wspomnianym okresie posiadały plantacyę dziesięcin 122,001, na których to wyhodowano buraków, oddanych do przerobu, 14,770,823 berkowców dziesięcio-pudowych.

Z wymienionej ilości otrzymano 19,220,924 pudów cukru i 5,210,220 pudów melasy.

Do powyższej kalkulacyi nie brałem paru fabryk, choć je niektórzy poczytują za polskie na podstawie, że cała administracya składa się wyłącznie z polaków. Ponieważ jednak ogromna większość akcyi tych Towarzystw jest w posiadaniu cudzoziemców, nazwać ich polskiemi niepodobna.

Poza wymienionemi fabrykami, jedna cukrownia w Besarabii, wraz ze sporym szmatem ziemi, jest w posiadaniu polskiego magnata, a dwa przedsiębiorstwa w gub. charkowskiej oparte są wyłącznie na polskich kapitałach. Jest cukrownia polska i w Mandżuryi.

Jako samoistne przedsiębiorstwo, pozostaje w ręku polskiem olbrzymia rafinerya w Gniwaniu, i z poważnym udziałem kapitałów z Królestwa — prowadzoną jest rafinerya Zytyńska, wyrabiająca rafinadę z melasy.

Udział polaków w przemyśle cukrowniczym nie wyczerpuje się rolą kapitalistów - przedsiębiorców. Śród zawodowych pracowników cukrowniczych, narodowość polska ma znaczną przewagę i polacy stanowią przeszło 40%, przeważnie techników i rolników, podczas, kiedy rosyanie 26,5%, a izraelici do 18% nie dochodzą.

T. Staniszewski.

Po otwarciu Wystawy.

Na otwarcie Wystawy Kijowskiej ministrowie nie przybyli, wbrew powszechnemu oczekiwaniu; wyręczyli się powitalnemi telegramami, co jednak uważanem jest tylko za odroczenie ich wizyty: podczas Wystawy Kijowskiej w mieście proponowane jest odsłonięcie dwóch, jednego po drugim, pomników: Koczubeja naprzód, Stołypina następnie. Otóż, odsłonięcie pomnika Koczubeja mieć będzie, niezawodnie, charakter doniosłej uroczystości, w której wszystkie żywioły lepsze Rosyi wezmą udział. Obejrzy wtedy też Kijów ministrów, a ministrowie obejrzą Wystawę. Samo otwarcie Wystawy więc miało charakter lokalny i przytem urzędowy. Minęło — jak zwykła formalność.

Wystawa sama przedstawia się imponująco. Położenie bardzo dogodne z jednej strony, bardzo malownicze z drugiej; tramwaj prowadzi wprost z Kreszczatika na dół, przed piękne, propyleowe wejście p. Wyszyńskiego. Sto pięćdziesiąt pawilonów przepchano okazami. Na wzgórze wystawowe prowadzi funiculer, po wyżynach toczy się parowa kolejka. Plac środkowy, pięknie żywem kwieciem ubarwiony i ujęty w empirową, prawdziwie przepyszną ramę, daje wrażenie wielkiego ładu, spokoju, harmonii i kultury zachodniej. Zanotujmy, iż ze stu pięćdziesięciu pawilonów czterdzieści kilka wzniósł sam Komitet Wystawy.

Nazajutrz po otwarciu zebrał się na generalne posiedzenie Komitet wystawowy i rozpoczął bardzo ścisłą, bardzo drobiazgową, bardzo surową — i przedewszystkiem mocno spóźnioną krytykę. Jaka szkoda, że Komitet wcześniej nie okazał więcej energii, rzucając cały olbrzymi ciężar tego dzieła na barki Zarządu. Dwa zarzuty główne podnoszono: 1-go, że Wystawa nie ma dróg dostatecznych i 2-o, że Wystawie brakuje właściwego gospodarza na placu. Oba zarzuty wystawowe są niezawodnie słuszne. Brak kamienia w okolicy stanowi prawdziwą klęskę dla kraju; nic to dziwnego, że drogi są największą trudnością do pokonania. Tej trudności, przy całej energii hr. Tyszkiewicza, nie udało się przezwyciężyć, i obecnie drogi stanowią najpoważniejszy minus dzieła, naogół bardzo udanego. Utworzenie dróg powierzono przedsiębiorcy inż. Onczakiewiczowi. Ten na termin nie wydążył. Komitet przeto, na propozycyę p. Bukowińskiego, postanowił nie krępować się kwestyami pieniężnemi i utworzyć na placu wystawowym tramwaj elektryczny.

Drugi zarzut jest słuszny, ale drobiazgowy. Hr. Aleksander Tyszkiewicz, dyrektor główny Wystawy, nie może pełnić drobnostkowych funkcyi gospodarza placu. Komitet o takiego gospodarza się upomniał. Hr. Tyszkiewicz zwrócił się do p. Józefiego, członka rady miejskiej, i Komitetu wystawowego, o przyjęcie tej funkcyi.

Wystawa ma więc i gospodarza swego.

Dział rozrywek szybko się uzupełnia. Będą to rozrywki szlachetne, jak wielkie koncerty symfoniczne i wokalne, i mniej wykwintne, jak „Koło śmiechu“, „Pokój dyabelski“ i inne popularne rozkosze. Obowiązkowa fontanna tryska już wielu strumieniami z jeziorka wystawowego; tylko co właśnie odbyła się jej próba.

Kijów. *Marius.*

Bank Handlowy w Warszawie.

Oddział kijowski.

Najpoważniejszą instytucyą finansową Królestwa Polskiego jest bezsprzecznie „Bank Handlowy Warszawski", założony w r. 1870.

O potężnym wzroście i rozwoju jego najlepiej świadczy jego kapitał zakładowy.

Pierwotnie wynosił on 1,000,000 rb., następnie zaś kilkakrotnie był podwyższany, aż wreszcie urósł obecnie do 20,000,000 rb., przyczem kapitał rezerwowy wynosi obecnie 10,000,000 rb.

Z każdym rokiem wzrastał i obrót banku, tak, że w ostatnim roku przewyższył on miliard rb.

Rozszerzając coraz bardziej swą działalność finansową, centralny zarząd Banku Handlowego w Warszawie otwierać zaczął cały szereg oddziałów swoich w różnych większych centrach handlowych i przemysłowych Królestwa, jak np. w Łodzi, Częstochowie, Sosnowicach, Lublinie, Kaliszu, Będzinie i Zawierciu.

Otwarto również oddział i w stolicy Cesarstwa — Petersburgu, aż wreszcie pomyślano o urządzeniu tej, tak pożytecznej i potrzebnej placówki w stolicy kraju południowo-Zachodniego, w Kijowie.

W roku 1911 nastąpiło otwarcie nowego oddziału, w obszernym, specyalnie urządzonym lokalu na Placu Dumy (Zarządu Miejskiego).

Urządzono go, jak tylko można najwygodniej, ażeby tylko odpowiadał celowi i był wygodnym zarówno dla personelu pracującego, jak i dla interesantów.

Składa się on z pięknej sali głównej, gdzie dokonywane są wszelkie operacye bankowe, i z kilku sal mniejszych, mieszczących biura, gabinet dyrektora i t. d.

W zakres działalności nowego oddziału wchodzą zarówno wszelkie operacye bankowe, jak i również czynności, wchodzące w zakres działu towarowego, rozwijającego się coraz lepiej.

Nie ma co nawet i wspominać o tem, że otwarcie oddziału kijowskiego przyjęte zostało z ogólnem uznaniem przez cały element polski na kresach, i sfery, zarówno przemysłowo - cukrownicze, jak i ziemiańskie, i drobniejsze handlowe, skwapliwie korzystać zaczęły z usług tej, tak poważnej, cieszącej się ogólnem uznaniem i zaufaniem instytucyi finansowej polskiej.

Pomnąc o wygodach i potrzebach klientów, urządzono w lokalu oddziału kijowskiego specyalny skarbiec (safes) do przechowywania papierów wartościowych, klejnotów i t. d.

Przy urządzeniu skarbca zastosowano wszystkie najnowsze wskazania wiedzy technicznej, do opancerzenia zaś użyto potężnych płyt stalowych, sprowadzonych z Anglii.

Urządzony z wielkim nakładem pracy i kosztów skarbiec ten zapewnia absolutne bezpieczeństwo wszystkim lokowanym w nim walorom i kosztownościom.

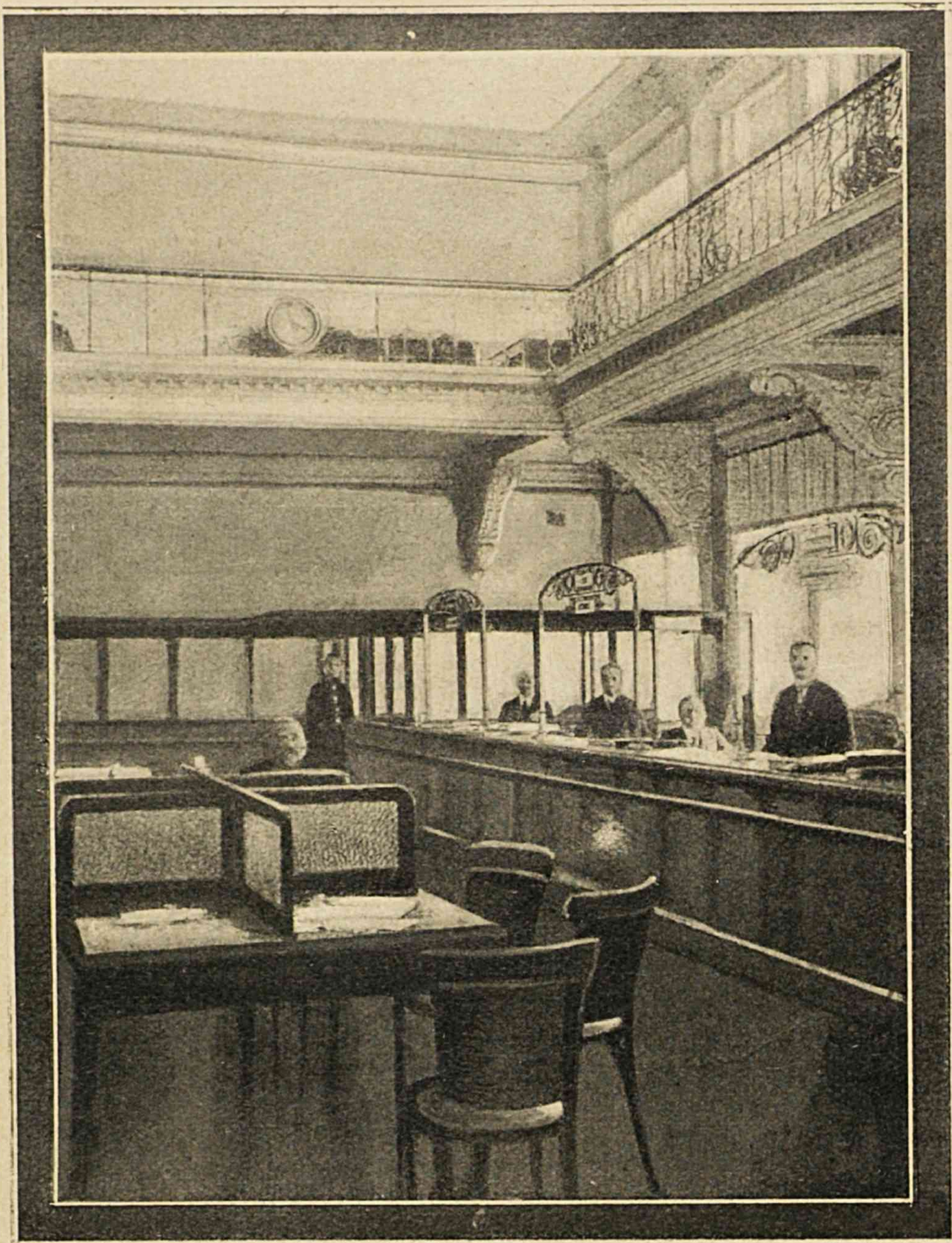
Korzystają też z niego skwapliwie mieszkańcy Kijowa i okolic, tak że wszystkie prawie kasetki zawsze są zajęte.

Naczelne kierownictwo oddziału kijowskiego „Banku Handlowego Warszawskiego" powierzono p. Gustawowi Wolskiemu, długoletniemu, gdyż 25-letniemu pracownikowi tej instytucyi, a przez przeciąg lat 12 dyrektorowi oddziału Banku w Częstochowie.

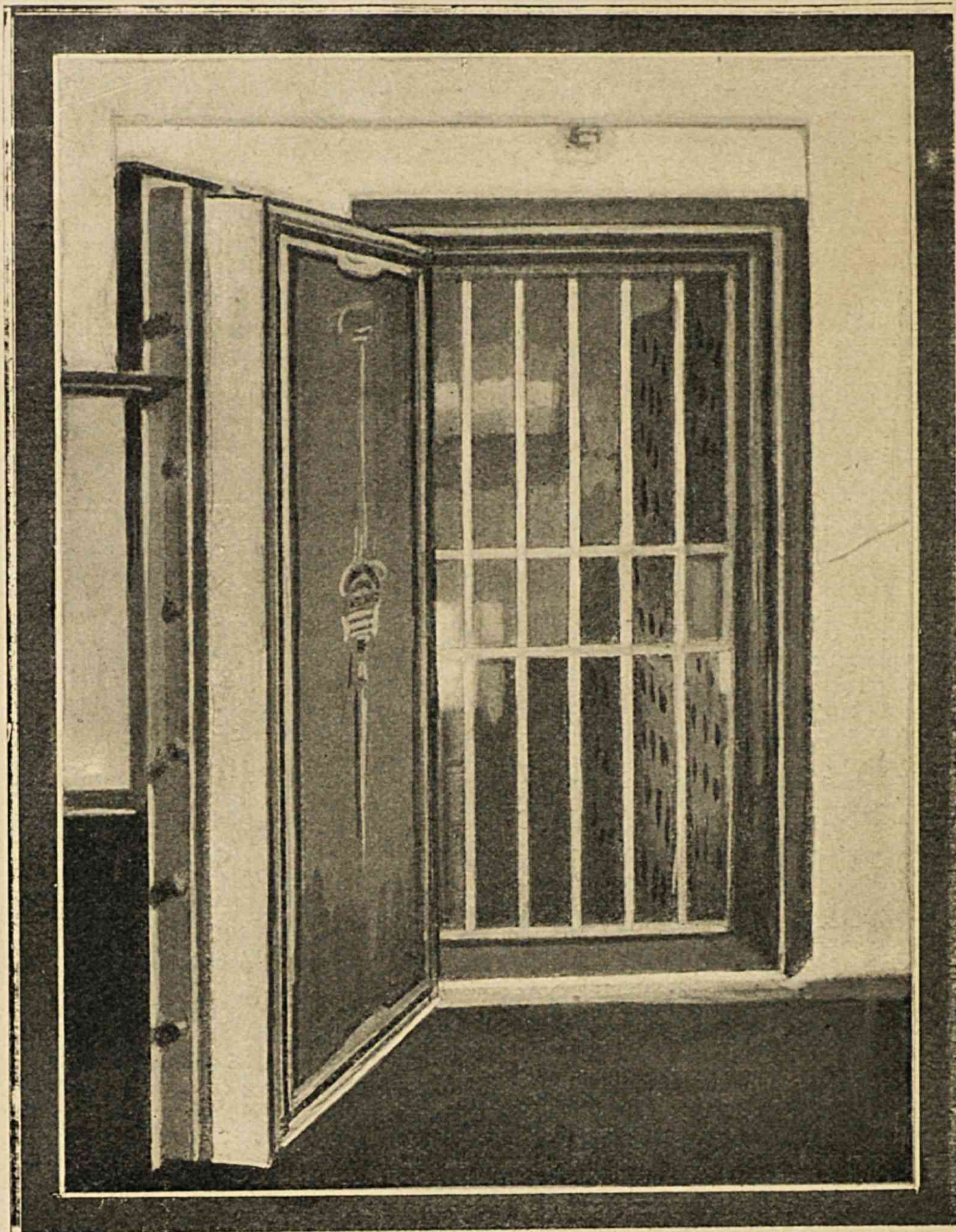
Zająwszy nowe, a tak odpo-



Gmach oddziału Banku Handlowego Warszawskiego w Kijowie.



8372. Fragment sali głównej.



Wejście do skarbca.

wiedzialne stanowisko, dyrektor nowego oddziału kijowskiego w krótkim czasie zapoznał się dokładnie z panującemi tam stosunkami, znacznie różniącemi się od stosunków handlowych w Królestwie, i tak sprężyście pokierował wszystkiemi sprawami, oraz wewnętrznym mechanizmem, zapewniającym prawidłowy rozwój nowej placówki, iż w pierwszym już roku istnienia swego oddział kijowski wykazał olbrzymi obrót, sięgający imponującej cyfry 40,000,000 rb.

Obrót wspaniały, jakim nie każda nawet z większych instytucyi bankowych poszczycić się może.

Przy boku pana Wolskiego stanął cały zastęp zdolnych i wykwalifikowanych pracowników, dzielnie dopomagających do coraz większego rozwoju instytucyi.

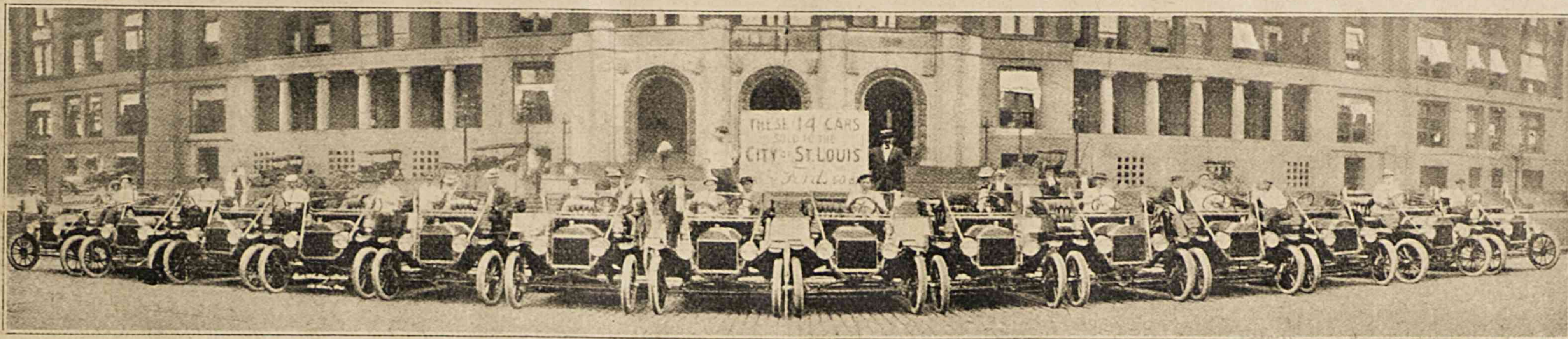
Z pośród nich wymienimy tylko pp. Józefa Frycza, prokurenta, który przez przeciąg lat kilkunastu, zajmował podobne stanowisko w Lublinie; p. Karola Masłowskiego, długoletniego współpracownika banku Wołżsko-Kamskiego, który przeszedł obecnie do oddziału kijowskiego Banku Handlowego w Warszawie; pp. Scipio del Campo, Aleksander Heinrich, Maleszewskiego, Świderskiego i innych, pracę swą i zdolności poświęcających rozwojowi instytucyi, posiadającej tak wielkie znaczenie handlowe i społeczne.

Dowodem zaufania, jakie nowa instytucya bankowa potrafiła zbudzić w Kijowie, służyć może to, że wielu kapitalistów i magnatów, wkłady swe, nawet paromilionowe, przeniosło z innych banków do oddziału kijowskiego Banku Handlowego w Warszawie.

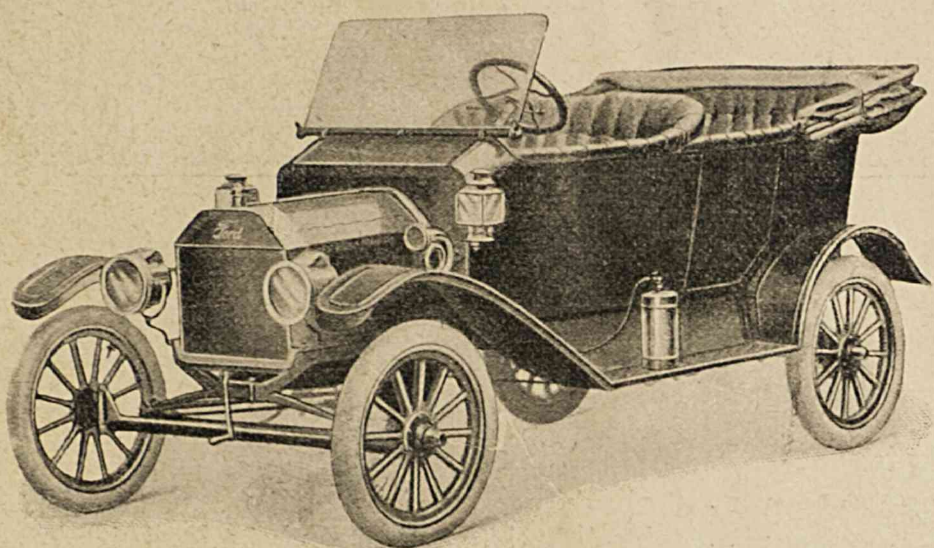
Obecnie z całą pewnością stwierdzić można, że kapitały polskie skupiły się w nowej instytucyi, i że zajmują tam dominujące stanowisko.

Wynika z tego, że chwila otworzenia oddziału kijowskiego była bardzo odpowiednia, i że placówka taka stanowiła tam niezbędną potrzebę.

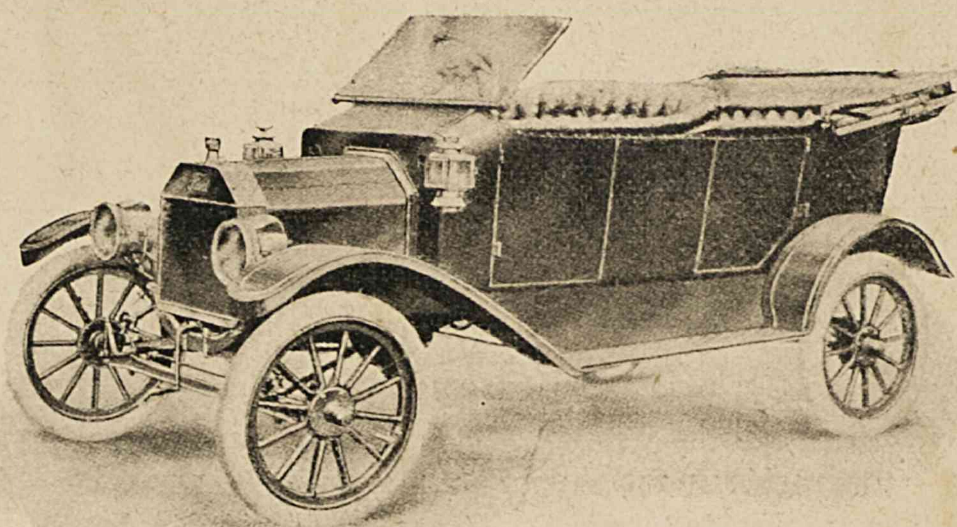
Dalszy rozwój oddziału kijowskiego Banku Handlowego w Warszawie, w tej żyznej krainie, jest zapewniony, i nie ulega najmniejszej wątpliwości, że obroty jego z każdym rokiem wzrastać będą. *kr.*



Garaż firmy „Ford".



Podwójny faeton A.



Podwójny faeton A.

Samochody firmy „Ford" w Kijowie.

Samochód, dotychczas uważany za zabawkę, dostępną tylko dla ludzi bogatych, spopularyzował się, stał się przedmiotem niemal pierwszej potrzeby, z powodzeniem coraz większem zastępując dorożki, omnibusy, powozy, a nawet i wozy ciężarowe.

W dziedzinie lokomocyi samochód zaczyna panować niepodzielnie, wypierając coraz bardziej wszelkie ekwipaże, ciągnione przez konie.

Ba, nawet i w armii samochody znajdywać zaczynają coraz większe zastosowanie, i blizkim jest czas, gdy baterye dział, podczas przyszłej wojny, dostarczane będą na pozycye przy pomocy samochodów.

Samochód zwycięża, produkcya ich wzmaga się, i, dzięki temu, obniżają się ceny.

Mieliśmy niedawno sposobność zapoznania się bliższego z wyrobami jednej z największych nietylko w całej Ameryce, ale i na całym świecie, fabryki samochodów „Ford Motor Company" w Detroit, w stanie Mitchigan, posiadającej reprezentacyę swą w Kijowie, przy ul. Funduklejewskiej Nr. 5.

Statystyka produkcyi rocznej tej fabryki najlepiej świadczy o wzroście i rozwoju użycia samochodów do celów lokomocyi.

Firma ta w r. 1911 wykonała 40,000 samochodów, w r. 1912 — 75,000, zaś w roku bieżącym będzie musiała wykonać ich więcej, niż 200,000, gdyż tak olbrzymią ilość posiada zamówień od swoich oddziałów i przedstawicieli.

200,000 sztuk... Imponująca cyfra... Jako nader ciekawy szczegół zanotować należy, iż przy 25 dniach roboczych na miesiąc, przy 10 godzinach pracy dziennej, fabryka wykańcza 67 samochodów na godzinę, to jest więcej, niż jeden samochód na minutę.

Zaznaczyć przytem należy, że takąż samą ilość samochodów wykańcza w tym roku tylko 14, razem wziętych, następnych co do wielkości fabryk samochodowych.

Taka masowa produkcya musiała bezwzględnie wpłynąć na obniżenie ceny samochodów „Ford". To znów wpłynie na wzrost zamówień, tak, że nie jest wykluczonem, że rok przyszły wykaże się stokroć wyższą ilością zamówień.

Dowiedliśmy, dlaczego samochody „Forda" są najtańsze, obecnie pozostaje nam dowieść, dlaczego są one stosunkowo najlepsze.

Przy wprowadzeniu samochodów „Ford" na rynki europejskie, konkurencyjne zakłady, przerażone pojawieniem się samochodów dużo tańszych a dobrych, podniosły alarm, dowodząc, że produkcya „Fordów" odbywa się pod hasłem: „Tanio, lecz źle".

Zapomniano o tem, że hasło to jest wyłączną zasadą niemieckich fabryk, że w Ameryce niema ono najmniejszego zastosowania, gdyż tam rządzą się, prawda, zasadą taniej fabrykacyi, lecz jednocześnie starają się dawać towar w gatunku jaknajlepszym.

Kontentując się minimalnym zarobkiem, zyskują olbrzymio na wzroście obrotu i produkcyi.

Tą zasadą rządzi się fabryka samochodów „Ford", i oto widzimy, do jakich dochodzi wyników.





Samochody firmy „Ford" w podróży po drogach Cesarstwa. 8373.

A teraz słów parę o zaletach samochodów „Forda".

Są one mocne nader i wytrzymałe. Prawda tych słów stwierdzona została nietylko przez samych posiadaczy samochodów, ale i przez szereg protokułów różnych komisyi sportowych i wojskowych.

Urzędowo stwierdzono, że po najgorszych drogach, przez wszelkie przeszkody, pod górę i przez piaski, samochód marki „Ford", tańszy znacznie od innych, biorących udział w konkursie, przebrnął zwycięzko, zdobywając ogólne uznanie.

Dowodem zresztą najlepszym ich mocy są powyżej podane fotografie. Straszliwe, zalane błotem, pełne wybojów drogi, zwycięzko przebywały samochody „Ford", co zaprotokułowane zostało urzędowo przez cały szereg świadków.

Stwierdzono przytem nader oszczędne zużycie benzyny i opon, co znów zawdzięcza swej lekkości.

To przebywanie z łatwością jaknajgorszych dróg samochody „Ford" zawdzięczają temu, że budowane są specyalnie na drogi amerykańskie, które, niestety, dobrocią swą nietylko że nie przewyższają, ale i ustępują znacznie drogom w Królestwie i Cesarstwie.

Drugą zaletą samochodu „Ford" jest lekkość — ta największa zaleta każdego samochodu. Dzięki niej, daleko łatwiej odbywa się wjazd pod górę, przebywa się drogi piaszczyste, wyboiste lub błotniste, a przytem otrzymuje się wielką oszczędność w zużyciu benzyny i opon.

Taki np. podwójny faeton „Ford" waży wszystkiego około 35 pudów.

Ta niezwykła lekkość zdobywa się dzięki prostocie konstrukcyi, oraz wysokim zaletom materyałów, użytych do budowy.

Jako najlżejszy z pośród istniejących samochodów, „Ford" przewyższa je pod względem wytrzymałości, sprężystości resorów i cichości w biegu, posiada swoistą, nader prostą konstrukcyę i jest racyonalnem rozwiązaniem zadań automobilizmu.

Jeszcze jedna ważna zaleta: samochody „Ford", dzięki nader prostej konstrukcyi, nie wymagają specyalnego i kosztownego nadzoru, do prowadzenia zaś wystarczy kilkominutowa instrukcya, by w zupełności dobrze prowadzić go.

Posiada to nader ważne znaczenie dla tych, którzy nie mogą lub nie chcą trzymać szoferów, i sami kierują swemi samochodami.

Co do zewnętrznego wykończenia, wykonany jest on we wszystkich szczegółach bez zarzutu, a nawet wykwintnie.

Pod tym względem samochody „Ford" w niczem nie ustępują najbardziej reklamowanym samochodom innych fabryk, a nawet, stosunkowo, przewyższają je.

Wielkie zapotrzebowanie samochodów marki „Ford" na Wołyniu, Podolu i całem południu Rosyi, skłoniło zarząd fabryki do otwarcia własnego składu i garażu w Kijowie, przy ul. Fundukleiewskiej 5.

Tam każdy interesowany, mający zamiar nabycia samochodu, otrzyma jaknajszczegółowsze informacye i wskazówki, będzie mógł odbyć próbę i drogą porównań dokonać odpowiedniego wyboru.

Przytem przedstawiciel firmy „Ford" udzieli mu na miejscu wszelkich fachowych wyjaśnień i udzieli wskazówek, tak zresztą niezbędnych przy kupnie samochodu.

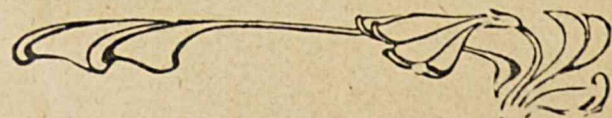
A że wtedy wybór jego padnie na samochód „Ford" nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Gdyż samochody „Ford", nie ustępując obsolutnie w niczem wyrobom innych fabryk, przewyższają je taniością, mocą, wytrzymałością, oraz tem, że są zbudowane specyalnie na złe drogi.

A to jest najważniejsze.

Garaż w Kijowie posiada na składzie wszystkie typy samochodów „Ford", łatwo więc jest dokonać wyboru, a przedtem jeszcze odbyć próbę, i osobiście sprawdzić wszystkie zalety jego.

kr.





Gmach zakładów gazowych przy ul. Erywańskiej № 3.



Gmach JW. E. hr. Raczyńskiego przy ul. Mazowieckiej róg Hr. Berga.



Gmach firmy Ludwik Spiess Synowie przy ul. Daniłowiczowskiej.

8382.



Gmach Domu Bankowego Wilhelm Landau.

Przemysł budowlany polski.

Z pośród różnych gałęzi przemysłu w ostatnim lat dziesiątku w sposób imponujący rozwinął się u nas przemysł budowlany. Przyczynił się do tego w znacznym stopniu olbrzymi rozwój Warszawy, rozkwit handlu i przemysłu, potrzeba budowania nowych gmachów na użytek wzrastającej olbrzymio ludności.

W dziale tym naczelne stanowisko zajęła jedna z najstarszych firm budowlanych w Polsce, mianowicie Tow. Akc. Fr. Martens i Ab. Daab, mieszczące się przy ul. Czerniakowskiej Nr. 51.

Założona przed niespełna 50 laty, gdyż w r. 1864, firma ta stopniowo rozwijała swą działalność, aż wreszcie, gdy liczba zamówień wzrosła, dla rozszerzenia zakresu swej działalności, w roku 1900 przekształconą została na Towarzystwo Akcyjne.

Z pomiędzy olbrzymiej ilości gmachów, wykonanych przez firmę, wymienimy tylko gmach zakładów gazowych, przy ul. Erywańskiej; domy hr. Raczyńskiego, przy ul. Długiej, dom hr. Krasińskiego przy ul. Mazowieckiej; halle Targowe na pl. Witkowskiego; gmachy fabryki Wulkan; gazownia; przędzalnie i t. p. Wyliczenie wszystkich budowli — zbyt wiele zajęłoby miejsca.

Z pośród obecnie wykonywanych przez firmę robót na uwagę zasługują szczególnie wykonywane systemem żelazno-betonowym gmachy: Tow. Akc. Ludwik Spiess i Syn przy ul. Hipotecznej, Tow. Akc. Br. Jabłkowskich przy ul. Brackiej; Banku Tow. Spółdzielcz. przy ul. Zgoda, oraz szpital Karola Maryi, powstały na Woli z fund. p. Szlenkierówny.

Niezależnie od tego, Tow. Akc. Martens i Daab posiada oddział swój w Łodzi, gdzie ostatnio wykonywało budowę szpitala z fundacyi Konsztadta, Grand hotelu, wielu fabryk i t. p.

Zakłady budowlane Tow. Akc. Fr. Martens i Ad. Daab urządzone są stosownie do ostatnich wymagań techniki. Posiadają one własny tartak i stolarnie, zaopatrzone w maszyny najnowszych systemów i konstrukcyi.

Zakłady budowlane Tow. Akc. Fr. mieszczą się przy ul. Czerniakowskiej Nr. 51, zarząd zaś główny przy ul. Wiejskiej Nr. 9.

Dbając o dobroć i solidność wykonywanych robót, firma Fr. Martens i Ad. Daab, jedyna w kraju, posiada olbrzymie składy drzewa suchego, a więc najodpowiedniejszego materyału do budowy. Wogóle przyznać należy, że jest to pierwsza w kraju fabryka, gwarantująca terminowe i solidne wykonanie robót, i stale dążąca do postępu w technice budowlanej. Dla wykonania tych robót firma zatrudnia całe zastępy ludzi o fachowem gruntownem wykształceniu.

Znaczna część ich wiedzę swą, zarówno praktyczną, jak i teoretyczną czerpała zagranicą. A zatrudnia firma pracowników zastęp poważny. Toż w samej Warszawie zajętych jest przy budowlach przeszło tysiąc dwustu ludzi, w Łodzi zaś przeszło 500.

Zastęp niemały. To też zarówno pod względem zarobkowym Tow. Akc. Martens i Daab stanowi poważną placówkę.



— A więc pan twierdzi?

— Nietylko twierdzę, ale stanowczo dowodzę, iż nasz przemysł kosmetyczny nietylko dorównywa, ale i przewyższa zagraniczny. Zresztą, dowodzenia te moje poprą same panie niczem niezbitemi pewnikami...

— Jakto?...

— Tak... Pozwoli pani zapytać się, czego używa, ażeby utrzymać cerę w tak świetnym stanie?...

— Ja?... Ależ najprościej w świecie. Nie używam do mycia innych mydeł, jak przetłuszczone Malinowskiego, o różnych, subtelnych zapachach, i, dzięki temu, mam skórę miękką i delikatną, nie łuszczącą się i niepękającą, wolną od zaczerwienień i wągrów.

— Czyż tylko tego używa pani szanowna?... A panie?...

— No... nie poprzestajemy wyłącznie na mydłach. Przecież przeciwko opaleniźnie stosujemy z powodzeniem krem Ogórkowy i Spirytus Ogórkowy, które również świetnie działają na cerę...

— Ja znów używam wyłącznie mydło ogórkowe, oraz Pâte Nature i krem Liliowy. Dzięki tym środkom, rzeczywiście, odzyskałam dawną cerę.

— No tak... a czegóż, jeżeli wolno spytać, używają panie, ażeby mieć tak piękne, bujne włosy?...



— Phi... Na włosy?... Najprościej w świecie, myjemy je mydłami specyalnemi Malinowskiego, które znakomicie oczyszczają skórę, chronią włosy od wypadania, i rzecz skończona...

— Tak... znakomicie... Idźmy dalej... A jakiegoż preparatu używają panie szanowne do ząbków, co, jak dwa sznury pereł, wyzierają z poza korali ust?...

— Jakiego?... I pani się jeszcze pyta o to?... Najzwyklejszego Eliksiru i Kalodensu. Wie pan, jak on znakomicie dezynfekuje i odświeża jamę ustną, a jak konserwuje zęby... Nie do uwierzenia...

— A teraz... pozwolą panie, że będę niedyskretny trochę... czy szanowne panie używają pudru?...

— A jakże... Jakżeż pan nawet pytać o to może... Każda z nas używa pudru hygienicznego... Wie pan... to jest znakomity preparat... posiada aż 4 odcienia, przylega ściśle do skóry i czyni ją matowo przejrzystą...

— Zatem, na zakończenie, przyznać muszę, że, oprócz mydeł do mycia, sam używam do golenia mydła Malinowskiego, które znakomicie działa na naskórek... Może więc teraz zechcą mi panie powiedzieć, której z zagranicznych fabryk są dopiero co wymienione preparaty kosmetyczne, skutek których widzę tak wyraźnie?

— Ależ skąd znów!... To nie są zagraniczne preparaty... To wyroby Malinowskiego, tego z Nowego Światu Nr. 35.

— A więc dopiąłem swego... Same panie poparły dowodzenia moje o wyższości przemysłu kosmetycznego polskiego nad zagranicznym, swemi odpowiedziami...

— Racya... ma pan słuszność... Składamy broń i uznajemy się za zwyciężone... *kr.*





Litografia i fabryka bombonierek K. Thies,

8365. Warszawa, ul. Leszno, 102 a, telefon № 4,84.

Poważną w dziale wyrobów papierowych u nas placówkę przemysłową stanowi powszechnie znana fabryka bombonierek i litografia p. f. K. Thies.

Założona w roku 1864 przez stryja obecnego właściciela, ś. p. Konstantego Thiesa, rozpoczęła pierwsza w kraju fabrykacyę opakowań, głównie dla cukrowni oraz fabryk czekolady, ozdobnych na wzór francuski.

Z biegiem lat, zawdzięczając energii i intuicyi założyciela, rozwijała się i rozszerzała swą działalność, tworząc coraz to nowe działy, udoskonalając poprzednie.

Wyroby fabryki znajdowały coraz szerszy zbyt, tak że lokal dawny, przy ul. Elektoralnej nr. 37, okazał się zaciasnym i przed 12 laty zaszła potrzeba przeniesienia fabryki do nowego, specyalnie wybudowanego gmachu przy ul. Leszno 102a.

Pod kierunkiem obecnego właściciela, p. Wł. Tatarkiewicza od lat 20-stu pracującego w tej fabryce rozwija się ona coraz dalej, znajdując dla wyrobów swoich rynki zbytu nie tylko w Królestwie, ale i w Rosyi, sięgając nawet jej azyatyckich posiadłości, oraz zagranicą, w Galicyi.

Specyalności firmy stanowią: bombonierki, pudełka fantazyjne, nadzwyczaj ozdobnie wytłaczane i malowane ręcznie, ozdabiane obrazkami z których część również u siebie wykonywa. W tym celu fabryka p. K. Thiesa posiada własną malarnię i rysownię.

W dalszym ciągu specyalność firmy stanowią papiery pod torby, kapsle do cukrów i ciastek, torebki i t. d.

Fabryka p. f. K. Thiess jest jedyną w swej specyalności nietylko u nas, ale i w całem Cesarstwie.

Dążąc stale za postępem, zaopatruje się zawsze w maszyny najnowszego systemu, ułatwiające pracę i dozwalające na wykonanie przedmiotów, dotychczas sprowadzanych z zagranicy.

I pod tym względem fabryka p. f. K. Thies stanowi ważną placówkę polską, to też obrót roczny jej przekracza obecnie sumę 180,000 rb.

Na zakończenie dodać należy, że fabryka zatrudnia obecnie do 150 pracowników, dla których istnieje urządzona specyalnie kasa Przezorności, oraz udzielaną bywa bezpłatna pomoc lekarska i wydawane lekarstwa, oraz zapomogi bezpowrotne na przypadek śmierci.

kr.



8385. Magazyn optyczny

Postleb i Nordbruch,

Marszałkowska 137.

Na Marszałkowskiej ulicy, która obecnie stała się główną siedzibą handlu, przybył nowy, nader pomysłowo urządzony magazyn optyczny, p. f. Postleb i Nordbruch.

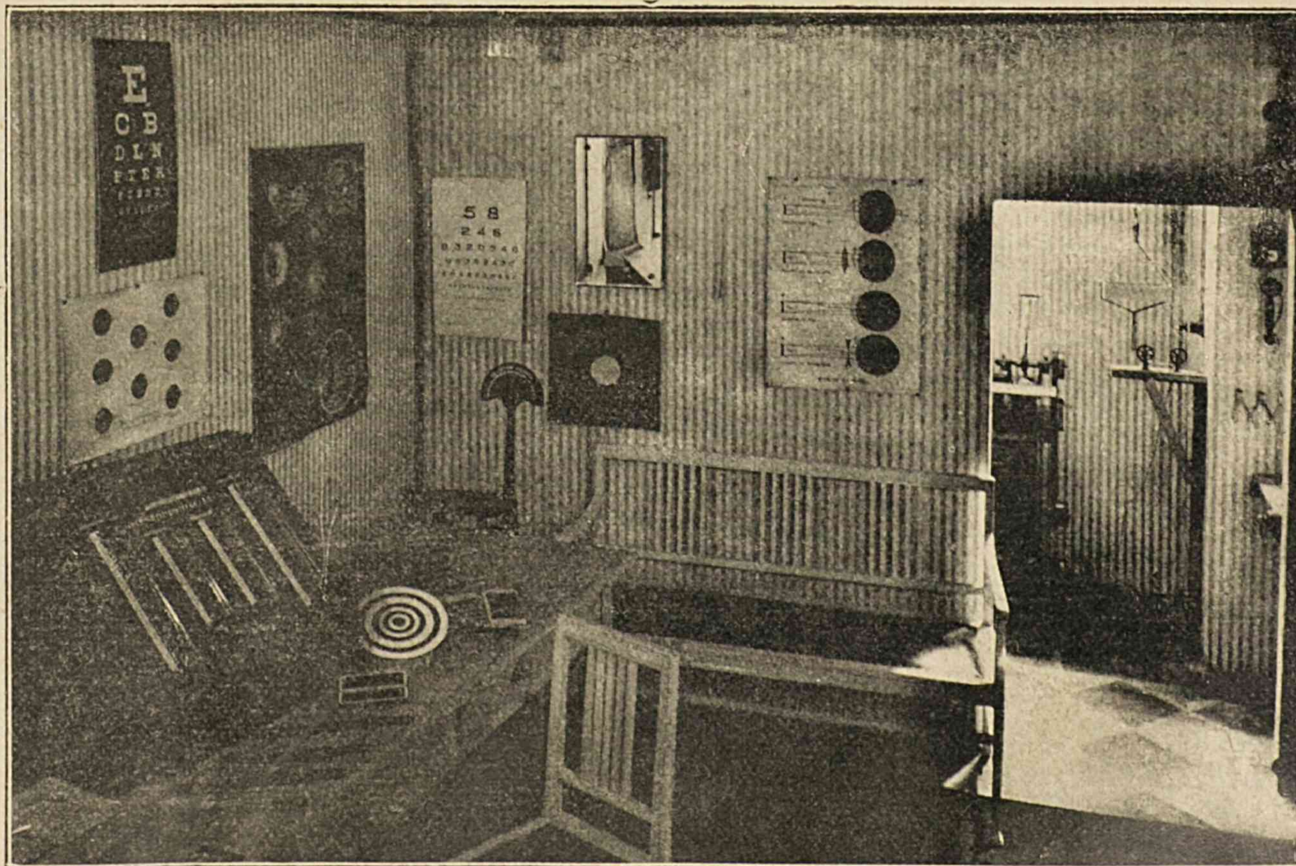
Założyciele jego, ludzie młodzi, energiczni, po odbyciu specyalnych studyi zagranicą, urządzili swój magazyn na sposób amerykański, jako nowość wprowadzając bezpłatne badanie oczu klientów, prowadzone według wszelkich zasad optyki i okulistyki przy pomocy najnowszych maszyn i przyrządów.

Pomysł ten cieszy się wielkiem powodzeniem i ułatwia znacznie kupno i dobranie odpowiednich szkieł.

Niezależnie od tego magazyn zaopatrzony jest w wielki wybór towaru, jak binokle (już od 75 kop.), okulary, lornetki, aparaty fotograficzne i t. p.

Jeszcze jedną specyalność posiada nowy magazyn, mianowicie posiada, nowe amerykańskie szkła do binokli i okularów, t. zw. „Specyal", najlepsze do ochrony i utrzymania wzroku i dające duże pole widzenia.

Życzyć tylko należy, by młoda firma spotkała się z życzliwem przyjęciem klienteli, by rozwijała się i rozszerzała coraz więcej.



Gabinet do badania oczu firmy Postleb i Nordbruch.



Wyższe wykształcenie.

—Co się dzieje, kolego,
Z córką waszą, Joanną?
—Świeżo pensyę skończyła,
Więc skończoną jest panną.

—Pewnie za mąż wnet wyjdzie,
Bo się wszystkim podoba?
— Ech, nie. Inne ma plany,
To poważna osoba.

O zamężciu nie myśli,
Chęć do wiedzy w niej gości,
Pragnie kształcić się dalej
W „Instytucie piękności".

Sposób na czasie.

Jam jest goły i ty goły,
Zaznajemy smutnej doli;
On jest goły, myśmy goli,
Oni, one—wszyscy goli.

Aby trosce tej zaradzić,
Myśl mi świetna strzela w głowę:
Połączmy się i załóżmy
Towarzystwo pożyczkowe.

Za lat parę zniknie bieda,
Która dziś nas srodze boli:
My będziemy ruble mieli,
A klienci będą goli.

K—c.

Z kroniki towarzyskiej.

Dnia 3 czerwca r. b. odbył się ślub p. Pelagii Iżyckiej z p. Teodorem Libiszowskim, obywatelem ziemskim, właścicielem dóbr Sosnowica w pow. włodawskim. W bardzo licznym orszaku ślubnym, złożonym z przedstawicieli rodzin Iżyckich i Libiszowskich, przyjmowali udział ks. Mirscy, hr. Czaccy, hr. Walewscy, oraz hr. Wielhorscy. Uroczystości ślubnej dokonał w kościele pp. Wizytek ks. kanonik Zygmunt Chełmicki w asystencyi ks. Ignacego Gałkowskiego i ks. Floryana Krasuskiego.



Pp. Pelagia z Iżyckich i Teodor Libiszowscy

Humor i Satyra.

Zajazd światowy.

Przyjeżdżali do nas persi,
Byli u nas włosi,
Więc warszawiak, dumą zdjęty,
Głowę w górę nosi.

Dumny jest—i sny o sławie
Władzę nad nim dzierżą,
Żeśmy byli i jesteśmy
Swiatową oberżą.

Kto się tylko gdzie na świecie
Czuje trochę głodny,
Zaraz zjeżdża do Warszawy,
Gdzie ma wikt wygodny.

Kto chce dostać tanim kosztem
Reklamy i sławy,
O sympatyi dla nas bając,
Jedzie do Warszawy.

My ramiona otwieramy,
Jak wiadukt na moście,
I krzyczymy zachwyceni:
„Witajcie nam, goście!"

Naje się gość i napije,
Przybyły zdaleka,
A do domu powróciwszy,
Zazwyczaj obszczeka.

Nic jednakże to nie zraża
Nas—iluzyonistów,
I dla obcych wciąż jesteśmy
W roli oberżystów.

Do Pyrry.

Buja wciąż kibić wagi na ostrzu brylanta—
Nad nią się zręcznie schyla Amor uskrzydlony
I ruchem niecierpliwym *pur sang* eleganta
Usiłuje wyrównać rozbujałe trzpiony.

Na jednej szali—ciężkie, szczerozłote gwichty
Jarzą się arogancko swoim blaskiem cudnym.
Niestety! szala z niemi, nakształt windy z szychty,
Wciąż wznosi się do góry wbrew nadziejom złudnym.

Nie pomaga nic ciężar wszechzwycięski złota...
O! Amorze, jak widać, i ty rady nie dasz!
Słusznie ciebie zdumiewa ten kaprys czy psota—
Boć, wiadomo, że wszystko pod słońcem na sprzedaż...

I buja w dalszym ciągu w widocznej rozterce
Kibić wagi niekłamnej na ostrzu brylanta,
A na szali jej leży, Pyrro, twoje serce
I drwi z niecnych zabiegów bożka-komisanta.

Zygmunt Tyski.

Wycieczka sportowa Tow. Wiośl. w Warszawie.



Fot. Maryana Fuksa. Wyruszenie osad z przystani W.T.W.

Treść № 25 „Świata".

ODDZIELNE ILUSTRACYE:

Poradnik hygien.-kosmetyczny.

Ratujmy zęby.

Prowadzone przez dentystów badania statystyczne wykazały znaczny procent zepsutych zębów, będących w następstwie źródłem wszelkiego rodzaju chorób. Należy też zawczasu baczną zwrócić uwagę na ich stan, oraz na to, czy w jamie ustnej niema jakich bakteryi i zarazków i energicznie wystąpić przeciwko nim. Od tego zależy nietylko zdrowie naszych zębów, ale i stan zdrowotny całego naszego organizmu. Przy stosowaniu środków dezynfekcyjnych i konserwacyjnych należy również baczną zwrócić na nie uwagę. Jak praktyka dowiodła, najodpowiedniejszym do tego celu okazał się „Tlenol“ (krem, proszek, płyn), sporządzony według przepisu d-ra Napoleona Cybulskiego, prof. Wszechnicy Jagiellońskiej. Środek ten nie zawiera mydła, a więc nie niszczy emalii, a znakomicie konserwuje i chroni zęby i dezynfekuje jamę ustną.

Mitinum hydrargyri.

Porównawcze zastosowanie kilku maści rtęciowych z mitinową rtęcią, stanowczo okazało wybitne właściwości rtęci mitinowej. Polegają one, przedewszystkiem, na tem, że wciera się ona w przeciągu połowy tego czasu, jaki potrzeba dla innych maści rtęciowych; metal rozprowadzony w niej jest nadzwyczaj równomiernie i subtelnie; maść mitinowa wcale nie brudzi; a wreszcie, nakoniec, badania kliniczne wykazały nadzwyczaj pomyślne i skuteczne wyniki leczenia tą maścią, wygodnym również jest sposób dawkowania tego środka, mianowicie umieszczenie go w rurkach z podziałkami, co pozwala za każdym razem wycisnąć tylko odpowiednią dawkę. Zdania lekarzy oddawna potwierdziły doskonałość tego preparatu i nader dodatnie wyniki leczenia nim.

Papier Poudré Ltd.

W życiu naszem, wogóle we wszystkiem winniśmy kierować się względami wygody i praktyczności. Naprzykład, czyż można do wygody zaliczyć noszenie przez panie puderniczki z pudrem i puszku. Wynalazczość ludzka wynalazła obecnie preparat, znakomicie usuwający tą niewygodę. Jest nim tak zwany papier pudrowy w książeczkach (*Papier Poudré Ltd*). Jedna karteczka wydarta z tej książeczki i przy pomocy chusteczki roztarta na twarzy, okrywa ją cienką warstwą najwytworniejszego pudru. Czyż zatem nie idealny wynalazek dla naszych pań, zwłaszcza w czasie upałów?

Dr. M. D.